Desant na kwaterę Hitlera

miniatury lotnicze

WŁADYSŁAW KISIELEWSKI

Desant
na kwaterę Hitlera

miniatury lotnicze

WŁADYSŁAW KISIELEWSKI

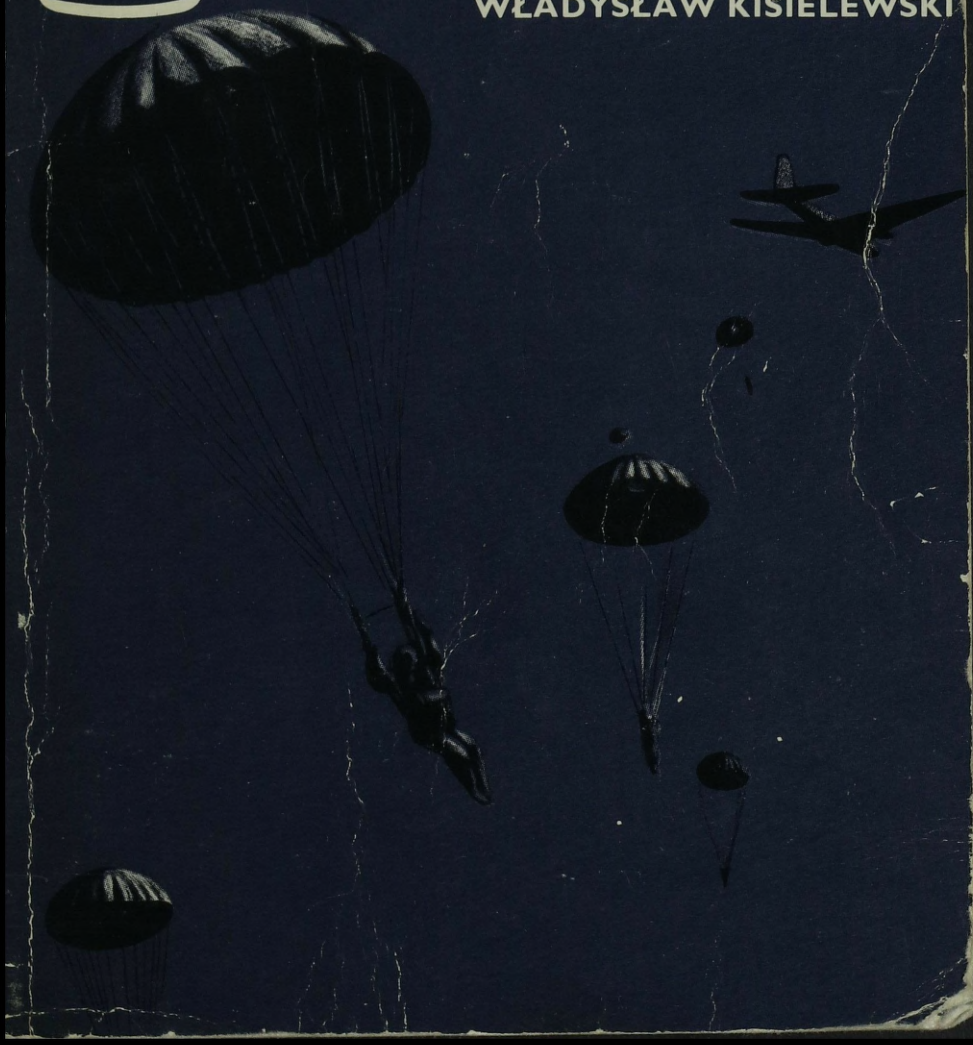

Desant

na kwaterę Hitlera

Desant
na kwaterę Hitlera

WŁADYSŁAW KISIELEWSKI

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA
RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH"
WARSZAWA 1975

miniatury lotnicze

Opracowanie graficzne
EWA ŁUKASIK

Okładka
PIOTR BOJANOWICZ i BOHDAN EINEBERG

Zdjęcia
WACŁAW KAPUSTO

oraz z archiwum płk. J. Lipińskiego

80945

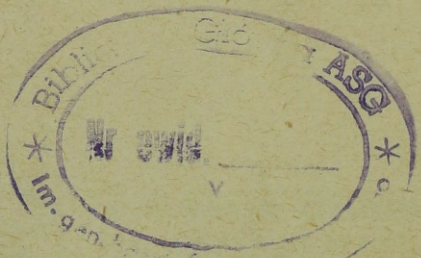

SPADOCHRONIARZOM GRUPY
DYWERSYJNO-ROZPOZNAWCZEJ
„Pomorze"

PRUSKA TWIERDZA HITLERA

Wszystko biegło w nieprawdopodobnym tempie. Załadowani do wnętrza douglasa wystartowali, lecąc ku nieznanej ziemi i ku nieznanym losom.

Po jakimś czasie, na tle nieba rozjaśnionego blaskiem księżyca, dojrzeli wielkie chmury snujące się nad płonącą powstańczą Warszawą.

Potem wpadli w ogień niemieckiej artylerii przeciwlotniczej, zdumiewająco celny. Pociski rwały się koło skrzydeł samolotu, który wirując w rozpaczliwych unikach, zdołał się wyrwać z kręgu ognia i wpadając w najbliższą chmurę zniknął w ciemnościach nocy.

Jeszcze nie ochłonęli z wrażenia, gdy ponownie znaleźli się w ogniu niemieckich baterii przeciwlotniczych. Znów uniki, jeszcze gwałtowniejsze. Samolot zatacza się w powietrzu, wyskakuje do góry, spada ku ziemi. Już pierwsze szarpnięcie rzuca wszystkich na kratownicę maszyny, a szaleńczy pęd w dół wciska ludzi w ściany kabiny, uniemożliwiając jakikolwiek ruch. Potem gwałtowny zawrót, w którym samolot ześlizguje się na skrzydło. Poprzez rwany szum motorów słychać grzechot odłamków tłukących w kadłub maszyny, jęki i przekleństwa ludzi rozbijających się

o przyrządy, ławki i kratownice samolotu. Wszędzie pył i kurz. Wszystko nie przymocowane na stałe leci do tyłu samolotu. Zimny wicher wdziera się szczelinami do maszyny. Samolot leci w dół, w aureoli rozrywających się dookoła pocisków, a migocąca ogniami ziemia zbliża się z niepokojącą szybkością.

Przewracających się w samolocie spadochroniarzy ogarnia graniczący z paniką lęk. Wydaje się im, że spadają ku nieubłaganej śmierci, zupełnie bezbronni i bezradni, zdani na łaskę załogi samolotu rozpaczliwie walczącej o uratowanie maszyny i swego własnego życia. Bo o tym, aby skakać ze spadochronem, nie ma co marzyć.

Wreszcie samolot chwyta równowagę i przechodzi do lotu poziomego.

Znika męczący szum w uszach, czerwone płatki przed oczami i już wyraźniej słychać dudnienie silników pracujących na pełnej mocy.

Maszyna leci prosto, nie trzęsie się i nie spada ku ziemi. Błyski strzałów pozostały za nimi i niknęły w oddaleniu.

Spadochroniarze odetchnęli i zaczęli rozcierać potłuczone łokcie i kolana.

Ale długo nie trwa ten błogi spokój, bo w kabinie maszyny pojawia się jeden z lotników i krzyczy:

— Szykować się do skoku!...

Są blisko celu.

Ppor. Józef Lipiński poprawia uprząż spadochronu i spogląda w dół. Pod nimi jest wroga ziemia, na którą mają zeskoczyć. Co ich czeka tam na dole?... Czy tylko nieznana ziemia, o którą mogą się rozbić spadając na niewidoczny w ciemnościach nierówny teren, czy także zbrojny wróg, który śledzi teraz lot ich samolotu i czeka momentu, kiedy ponad wyskakującymi z niego ludźmi rozwiną się czasze spadochronów, do

Legitymacja spadochroniarza samodzielnego batalionu specjalnego

których można będzie strzelać, jak do ćwiczebnej tarczy na poligonie.

— Skakać! — niecierpliwi się lotnik.

Spadochroniarze jeden za drugim wylatują z maszyny. Ppor. Lipiński ponownie spogląda w dół. Po prawej stronie błyszczy wielka płaszczyzna wody. To jezioro, ich znak orientacyjny. Po obu jego stronach widać ciemne plamy lasów. Trafili bezbłędnie. Chwała nawigatorowi samolotu.

Lipiński pochyla się i wyskakuje z maszyny. Ogarnia go przenikliwy chłód i zupełna zatrata poczucia

istnienia. Trwa to króciutkie sekundy. Do rzeczywistości przywraca go trzask otwierającej się nad nim czaszy spadochronu. Zawisa na linkach i szuka wzrokiem samolotu, z którego wyskoczył. Jest. Widzi go wyraźnie na tle nieba, a pod nim kołyszą się czasze spadochronów spływających ku ziemi. Przenosi wzrok w dół. Ciemne kontury ziemi nabierają wyrazistości i biegną ku niemu z niepokojącą szybkością. Odruchowo kurczy nogi, podciąga się na linkach i niemal w tym samym momencie całym ciężarem uderza w wilgotną ziemię.

Podnosząc się, słyszy głuche uderzenia o murawę lądujących opodal kolegów.

Nadszedł rok 1944. Piąty rok krwawych zmagań, który dla hitlerowskiej Rzeszy był nader niepomyślny. Rozmach i efektywność działań wojsk radzieckich, które wyparły najeźdźców z terenów Związku Radzieckiego i zaczęły wyzwalać kraje okupowane, spowodowały niepokój wśród państw satelickich Niemiec. Rumunia i Finlandia oraz inne kraje satelickie zaczęły szukać dróg wyjścia z wojny, w której brały udział przy boku hitlerowskiej Rzeszy. Straty ponoszone przez wojska hitlerowskie na wschodnim froncie były ogromne i ułatwiły zachodnim sojusznikom dokonanie inwazji na kontynent. Walka toczyła się na dwóch frontach: na wschodzie i na zachodzie. Jednak główny jej ciężar spoczywał na froncie wschodnim i tu Niemcy ponosili największe straty. Południowe skrzydło strategicznej obrony Niemiec rozpadało się pod ciosami wojsk radzieckich, a sforsowanie Wisły pozbawiło armie hitlerowskie dogodnej rubieży obronnej, mającej zahamować marsz na Berlin.

Poza ogromnymi stratami w ludziach i sprzęcie, poniesionymi przez wojska hitlerowskie, zaistniała realna groźba, że szybki marsz radzieckich wojsk do-

prowadzi do pozbawienia Niemców bazy żywnościowej i źródeł surowców strategicznych. Ataki bombowe lotnictwa alianckiego i radzieckiego niszczyły systematycznie niemiecki przemysł wojenny.

Hitlerowcy podjęli olbrzymie wysiłki, aby zażegnać krytyczną sytuację. Jednak mimo bezwzględnej eksploatacji krajów okupowanych, zwiększenia liczby przymusowych robotników do ponad 7 milionów, zmobilizowania do sił zbrojnych młodzieży od lat 16 oraz starych roczników rezerwy do Volkssturmu i uporczywych dążeń do zwiększenia produkcji zbrojeniowej, nie udało się im wyrównać strat wojennych, poniesionych na frontach. Niemniej posiadali wciąż jeszcze dużą siłę, której rozgromienie wymagało ogromnych wysiłków.

Jednym z podstawowych zadań wojsk radzieckich było rozbicie zgrupowań nieprzyjaciela na obszarze między Wisłą a Odrą, i wyjście na przedpola Berlina. Akcja ta wymagała likwidacji wschodniopruskiej cytadeli niemieckiego militaryzmu, wiszącej jak groźna chmura nad skrzydłem wojsk radzieckich idących na Berlin.

Operacja wschodniopruska, która przypadła w udziale wojskom 2 i 3 Frontu Białoruskiego, miała odciąć broniącą się w Prusach Wschodnich grupę armii „Środek" od pozostałych sił armii niemieckich, przycisnąć ją do morza, porozcinać na części i zniszczyć.

Nie było to łatwe zadanie. Prusy Wschodnie były twierdzą Hitlera, stojącą na straży III Rzeszy i w pełni przygotowaną do wypełnienia powierzonego jej zadania. W połowie 1944 r. ten wschodniopruski bastion miał za zadanie ochronę nadbrzeżnej linii Bałtyku, uratowanie armii hitlerowskich odciętych w Kurlandii oraz stworzenie groźnego nawisu zagrażającego

wojskom radzieckim uderzającym na Berlin.

Osiągnięcie tego celu umożliwiało silne ufortyfikowanie całego terenu, który tworzył jednolity system polowo-fortyfikacyjny, nie mający odpowiednika na innych obszarach wojennych. Jego obronność zwiększały warunki naturalne terenu — ogromna ilość jezior, mokradeł, rzek i przesmyków. Zbudowane wśród nich linie obronne, będące kompleksem umocnień opartych na istniejących jeszcze przed wojną fortyfikacjach, były wzmacniane tworzeniem „miast-twierdz" według tak zwanego systemu „Wellenbrecher".

Zakładał on, że miasta o znaczeniu strategicznym były przygotowane do długotrwałej obrony. Otaczano je między innymi dwoma pierścieniami umocnień, w tym umocnień polowych, które starano się łączyć z innymi pozycjami. Tworzył się w ten sposób olbrzymi pas obronny, który przebiegał przez powiaty graniczne i ciągnął się od Zalewu Kurońskiego aż do Wisły pod Warszawę. Na północy sięgał po Królewiec, a na południu — przez Wielawę — do jezior mazurskich. Dalej linie obronne biegły przez tereny powiatu Pisz w kierunku Nidzicy i Ciechanowa. Ponadto jeszcze Królewiec otoczony był pasem umocnień biegnącym od Labiawy przez Wielawę, Bartoszyce, Braniewo aż do wybrzeża Bałtyku.

Wschodniopruska rubież obronna składała się z trzech pasów obronnych, pozycji pośrednich i ryglowych, które łączyły obronę polową z fortyfikacyjną.

Pasy obronne, kilkunastokilometrowej głębokości, miały po dwie lub trzy pozycje. Na jeden kilometr frontu przypadało około 10 km rowów strzeleckich, 3-5 km przeszkód przeciwko piechocie i około 2-3 przeszkód przeciwpancernych, około 2000 min różnego rodzaju oraz 40 stanowisk ogniowych broni maszy-

nowej i 5 stanowisk artyleryjskich. Szczególny nacisk położono na obronę przeciwczołgową

Ten potężny Ostwall — Wał Wschodni — był obsadzony przez 600 000 żołnierzy, nie licząc oddziałów Volkssturmu, na które składało się około miliona ludzi. Ponadto były tam również silne jednostki SS, które wraz z licznymi funkcjonariuszami gestapo miały zapobiegać penetracji wroga, pragnącego zdobyć informacje o wartości obronnej tej pruskiej twierdzy.

Zwycięski marsz wojsk radzieckich wpłynął na ożywienie ruchu oporu na terenach okupowanych, ale w Prusach Wschodnich ruch ten niemal nie istniał. Jedynie w powiatach mławskim, działdowskim i brodnickim działały grupy Armii Krajowej, Batalionów Chłopskich i Armii Ludowej. Warunki, jakie panowały w Prusach Wschodnich, uniemożliwiały tamtejszym mieszkańcom polskiego pochodzenia oraz Polakom wywiezionym na te tereny do pracy przymusowej stworzenie organizacji podziemnej na większą skalę. Wszystkie próby kończyły się tragicznie.

Nieliczne też były wypadki zapuszczania się polskich oddziałów partyzanckich w ten rejon. Kroniki niemieckie zanotowały wypad, zakończony zdobyciem w 1944 roku umocnionej wsi niemieckiej Turośl.

Dowództwo wojsk radzieckich, przygotowując się do ofensywy i zlikwidowania niemieckiej grupy armii „Środek", będącej najsilniejszym tego typu związkiem na froncie wschodnim, nie dysponowało żadnymi danymi z Prus Wschodnich, a sztab 2 Frontu Białoruskiego określał ten rejon jako „nieznany".

Aby uzyskać informacje niezbędne do podjęcia natarcia na tak umocniony rejon, postanowiono wysłać na tyły wroga spadochronowe grupy rozpoznawczo-dywersyjne.

Zrzucono 12 takich grup w rejonach Działdowa, Szczytna, Lidzbarka i Kętrzyna. Niestety, nie zdołały one utrzymać się na tym trudnym terenie i w szybkim czasie zostały zlikwidowane przez Niemców. Postanowiono więc zrzucić grupę polskich spadochroniarzy.

POLSKI SAMODZIELNY BATALION SPECJALNY

18 października 1943 roku powstał polski batalion specjalny. Jego zadaniem było szkolenie oraz organizowanie grup i oddziałów w celu prowadzenia zadań dywersyjno-zwiadowczych na tyłach nieprzyjaciela, a także współdziałanie w zaopatrzeniu bojowym oddziałów Armii Ludowej. Co prawda początkowe zamierzenia przewidywały szerszy zakres działań batalionu niż tylko szkolenie i przygotowywanie grup desantowych. Miał on bowiem ponadto organizować przerzuty ludzi przez linie frontu i zaopatrywać ich na tyłach wroga. Koncepcja utworzenia sztabu partyzanckiego, jako oddzielnej jednostki mającej zapewnić realizację tych działań pod względem organizacyjnym i wojskowym, powstała bowiem nieco później.

W lutym 1944 r., w związku z sytuacją na froncie wschodnim, zaistniała konieczność przyspieszenia szkolenia i szybszego przygotowywania grup desantowych.

Szkolenie specjalistów trwało minimum 3 miesiące, a przeszkolenie spadochronowe od 4 do 6 tygodni, po czym przystępowano do formowania grup specjalnych.

W maju 1944 r. batalion przeszedł do dyspozycji PSzP pod bezpośrednie dowództwo wydziału operacyjnego. Otrzymywał on zadania przygotowywania

grup desantowych. Grupę kursantów po zakończeniu szkolenia kierowano do kompanii formowania grup i oddziałów w celu odbycia ćwiczeń praktycznych, a następnie po wyposażeniu w broń, amunicję, radiostację, lekarstwa, żywność itd. przekazywano do dyspozycji szefa Polskiego Sztabu Partyzanckiego. Tam też lub na miejscach postoju przeprowadzano odprawy grup, przekazując im szyfry oraz zapoznając z rozkazem operacyjnym zawierającym dokładne wyszczególnienie ich zadań.

W wyszkoleniu żołnierzy batalionu dużą rolę odegrali radzieccy instruktorzy specjaliści, oddelegowani z wojsk powietrzno-desantowych Białoruskiego i Ukraińskiego Sztabu Partyzanckiego.

Batalion zorganizowano na wzór jednego z baonów brygady spadochronowo-desantowej. Szkolenie specjalistów odbywało się w kompaniach: radiotelegrafistów, minierskiej, zwiadowców, ciężkich karabinów maszynowych, moździerzy, rusznic przeciwczołgowych. Wyszkolenie spadochroniarskie obejmowało: skoki z gondoli balonu, z samolotu — z podziałem na skoki szkolne, z uzbrojeniem, nocne, pojedyncze i grupowe, które łączyły się z wykonaniem bojowego zadania.

O pracy specjalnego batalionu mówi liczba 569 wyszkolonych żołnierzy, którzy odegrali poważną rolę w rozwoju ruchu partyzanckiego w Polsce. Rekrutowali się oni ze wszystkich jednostek Polskich Sił Zbrojnych w ZSRR i polskich odziałów partyzanckich. Stosunkowo dużą grupę stanowili Polacy, którzy, przymusowo wcieleni do wojska niemieckiego, przechodzili linię frontu na stronę wojsk radzieckich. Wielu z nich, ze względu na znajomość języka niemieckiego, działało w grupach desantowych, zrzucanych na dalekie zaplecze wroga aż po Berlin.

GRUPA DESANTOWA „POMORZE"

Wyłoniona z Polskiego Samodzielnego Batalionu Specjalnego dwunastoosobowa grupa „Pomorze" była starannie przygotowana do działań na dalekim zapleczu wroga. Nie było to zadanie łatwe. Już samo utrzymanie się na tak nasyconym wojskami niemieckimi terenie było rzeczą ogromnie trudną. Potwierdzały to losy 12 grup desantowych zrzuconych na teren Prus Wschodnich i w szybkim czasie zlikwidowanych przez Niemców.

Przedstawiciel sztabu 2 Frontu Białoruskiego, płk. Biełow, zaznajamiając spadochroniarzy grupy „Pomorze" z czekającymi ich zadaniami na tym „zupełnie nie rozpracowanym" terenie, wspomniał, że dowództwo radzieckie nie dysponuje żadnymi wiadomościami o przygotowaniach niemieckich do obrony tego rejonu. Na koniec dodał, że: „...ludność tamtejsza jest przeważnie niemiecka, część jej stanowią osadnicy, którzy otrzymali ziemię w drodze wyróżnienia przez rząd III Rzeszy. Dlatego też pracę wywiadowczą należy rozpoczynać bardzo ostrożnie, ustalić obiekty wojskowe, koncentracje wojsk, rejony umocnień i fortyfikacji, a ludność polską podtrzymywać na duchu. Takie jest wasze główne zadanie".

Ze względu na wybuch powstania warszawskiego okres przygotowawczy skrócono i termin startu wyznaczono na dzień 6 września 1944 roku. Grupa „Pomorze" w składzie: ppor. Henryk Mycko, ppor. Józef Lipiński, ppor. Stefan Zakrzewski, ppor. Emil Piesiór, ppor. Władysław Właszkowski, ppor. Władysław Dudzik, ppor. Włodimir Kirsiejow, ppor. Igor Waluszkiewicz, ppor. Wołodia Arens, st. sierż. Józef Krawiec, st. sierż. Leon Płonka, st. sierż. Władysław Wilczyński, została przerzucona ze Świdnika do Brześcia i tam,

po kilkugodzinnej rozmowie z oficerami radzieckimi, którzy udzielili spadochroniarzom wielu cennych wskazówek, załadowana do samolotu typu Douglas.

A potem wszystko poszło w nieprawdopodobnym tempie.

Lecieli kursem Działdowo—Warszawa.

Po jakimś czasie, na tle nieba rozjaśnionego blaskiem księżyca, dojrzeli wielkie snujące się nad powstańczą Warszawą chmury dymu.

Potem wpadli w ogień niemieckiej artylerii przeciwlotniczej...

Była godzina 1 minut 15. Wyskoczyli w wyznaczonym punkcie w rejonie Nowe Konopaty, na las lidzbarski. Dzięki temu, że wyskakiwali jeden po drugim, w minimalnych odstępach czasu, wylądowali blisko siebie i nie potrzebowali się szukać. Wszystko odbyło się sprawnie i cicho. Tylko z pobliskich wiosek dochodził do nich jazgot psów. Nic nie wskazywało na to, że ich desant został zauważony przez Niemców. Niemniej nie należało zbyt długo przebywać na miejscu lądowania. Zabrali się do pracy. Zwijając spadochrony, zacierając ślady lądowania, stwierdzili, że dwóch skoczków odniosło obrażenia, a oficer odpowiedzialny za sprzęt zameldował, że nie może odnaleźć zasobnika z amunicją, żywnością i środkami opatrunkowymi. Widocznie spadochron z zasobnikiem został zniesiony wiatrem w niewiadomym kierunku i mimo wysiłków nie można go było odnaleźć.

Nie chcąc przebywać zbyt długo w miejscu lądowania, spadochroniarze odmaszerowali w rejon Bryńska, posuwając się marszem ubezpieczonym. Tam ukryli się w lesie i wieczorem trzech z nich wyruszyło na poszukiwania zagubionego zasobnika. Odnaleźli go dopiero o świcie. Po odzyskaniu sprzętu spadochronia-

rze odmaszerowali w stronę Bryńska i tam, w rejonie bazowania, wykopali ziemiankę, w której ukryli część zasobów.

Nie orientując się, czy Niemcy wiedzą o ich lądowaniu, przez jakiś czas ukrywali się w lesie i nie kręcili po okolicy, aby nie natknąć się na patrolujące rejon oddziały niemieckie.

Dokuczało im pragnienie, bowiem nigdzie w pobliżu nie było wody, a w manierkach skończyła się dawno.

Spędzali czas na dokładnym studiowaniu mapy i ustalaniu planu działania w najbliższym okresie. Określili również zapasowy rejon bazowania w lasach gutowskich oraz punkty kontaktowe, konieczne na wypadek rozproszenia przez żandarmów lub patrole Wehrmachtu. Taką ewentualność należało przewidzieć po wyjściu z lasów.

Najpilniejszym zadaniem było znalezienie człowieka, który mógłby udzielić im informacji o rozlokowaniu oddziałów niemieckich w okolicy, o leśniczych strzegących tych lasów oraz o mieszkańcach pobliskich wiosek.

Trzeciego dnia patrol złożony z dwóch spadochroniarzy udał się w stronę Czarnego Bryńska. Opodal samotnego budynku spostrzegli kobietę z dzieckiem. Przyczaili się w gęstwinie i starali się zorientować, jakim językiem rozmawia z dzieckiem. Z radością stwierdzili, że mówi po polsku.

Kobieta była żoną Leonarda Piotrowskiego, który udzielił im cennych informacji o wszystkich leśniczych w tej okolicy. Za najpewniejszego z nich uznał Leonarda Zamkowskiego oraz... Niemca, Hermana Wajdera, który bardzo życzliwie odnosił się do miejscowej polskiej ludności oraz do polskich robotników przywiezionych na roboty przymusowe.

Spotkali się więc z Leonardem Zamkowskim, który udzielił im informacji nie tylko o mieszkańcach z rejonu lasów lidzbarskich, ale i z okolic Brodnicy, Działdowa i Nidzicy. Zdaniem Zamkowskiego, mieszkający tam autochtoni, pomimo wpisania ich na niemieckie listy narodowościowe, pozostali dobrymi Polakami i nienawidzili Niemców. Można więc było liczyć na ich pomoc i współpracę.

Potem rozmawiali z leśniczym Grzonkowskim oraz leśniczym Jarzębskim z Buczkowa, którzy podjęli się nie tylko nawiązać łączność, ale nawet obiecali zapewnić współpracę z działającym na tym terenie oddziałem Armii Krajowej. Dowiedzieli się przy tym, że oddział, choć nie jest zbyt silny i nie prowadzi większych akcji dywersyjnych, ma duży wpływ na okoliczną ludność i posiada rozgałęzioną sieć wywiadowczą.

Spotkanie z kierownictwem oddziału Armii Krajowej zorganizowała spadochroniarzom Maria Kaczewska, właścicielka młyna w Traczyskach. Odbyło się ono w Buczkowie, w mieszkaniu Franciszka Stawickiego.

Ze strony AK wzięli w nim udział: komendant rejonu — Jan Rążycki, jego brat oraz Franciszek Stawicki. Spadochroniarze przyszli na spotkanie w mundurach, z orzełkami na czapkach, na które akowcy patrzyli z rozrzewnieniem, bo nie widzieli jeszcze na tych terenach polskich żołnierzy w mundurach regularnej armii i z bronią w ręku. Była to dla nich zapowiedź rychłego wyzwolenia tych prastarych polskich ziem.

W czasie rozmowy, w której szybko znaleźli wspólny język, zostali poinformowani o lokalnych warunkach i możliwościach działania.

— Teren Prus Wschodnich — wyjaśniał im Jan Rążycki — charakteryzuje się dużą ilością jezior i brakiem większych masywów leśnych. Lasy są

Teren działania grupy rozpoznawczo-dywersyjnej

POMORZE

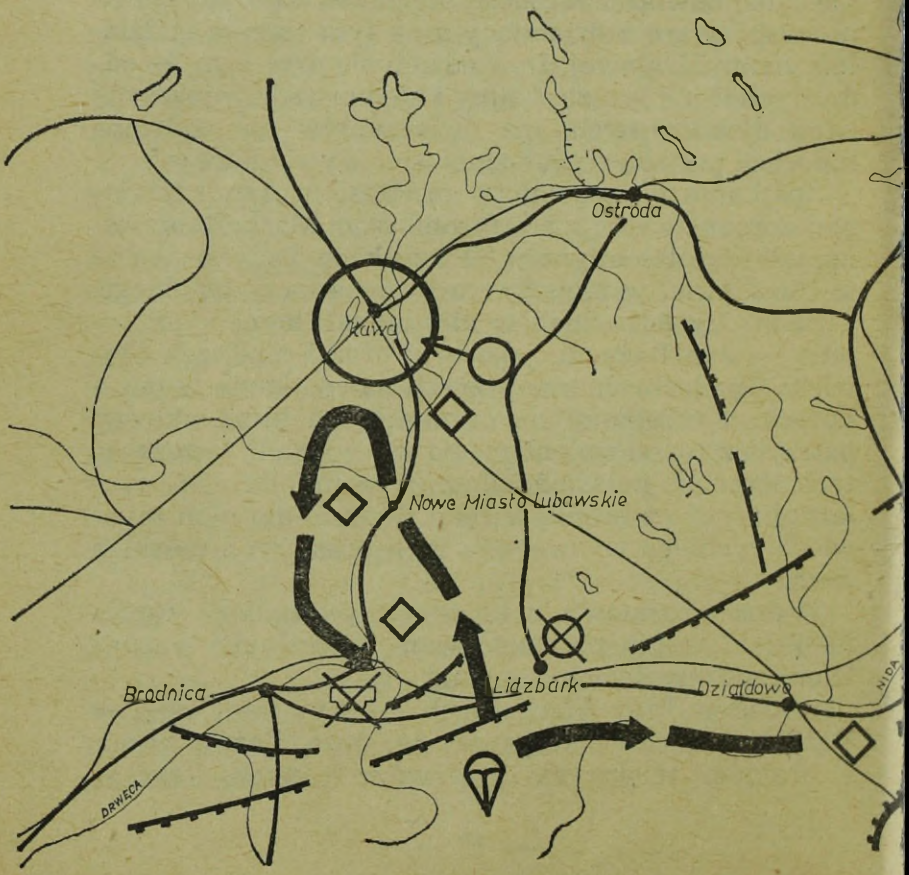

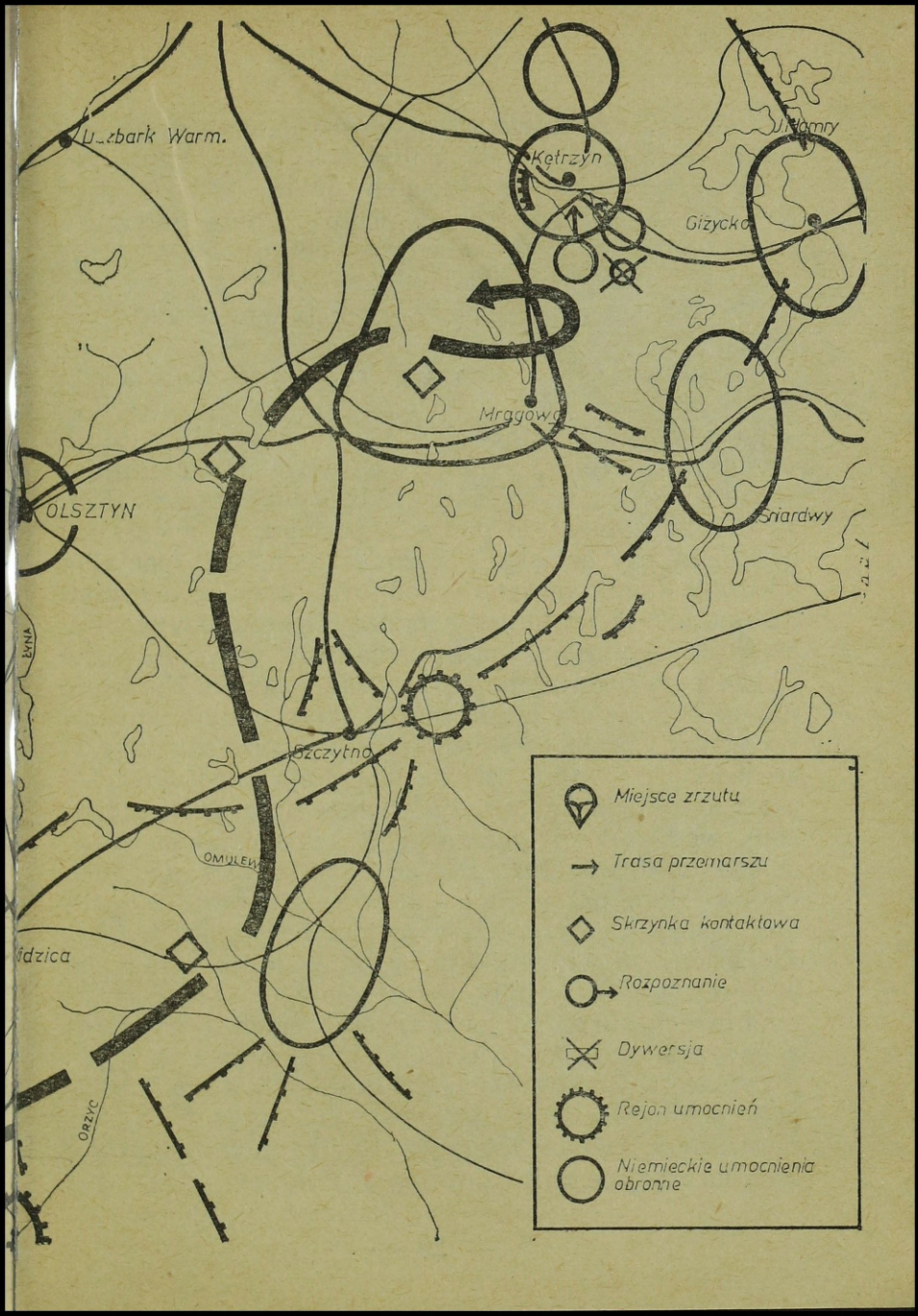
Lidzbark Warm.
Kętrzyn
Giżycko
Mrągowo
OLSZTYN
Szczytno
OMULEW
Miejsce zrzutu
Trasa przemarszu
Skrzynka kontaktowa
Rozpoznanie
Dywersja
Rejon umocnień
Niemieckie umocnienia obronne

w większości sosnowe, stare, wysokopienne, poprzecinane siecią dróg bitych, polnych i przesiekami. Na bazy partyzanckie lasy te są zbyt małe, a liczne drogi i przesieki umożliwiają Niemcom szybkie przerzuty samochodami dużych oddziałów policyjnych czy wojskowych i przeprowadzanie obław.

Akowcy zapoznali ich także ze stanem sił niemieckich.

— Kierownictwo walki ze zbrojnym ruchem oporu jest w rękach SS i policji. Ale w myśl zarządzeń OKW Wehrmacht ma z nimi ściśle współdziałać. Niezależnie od akcji w terenie, jednostki wojskowe, stacjonujące w garnizonach, wyznaczają oddziały alarmowe, które są zawsze gotowe do podjęcia pościgu. W większych osiedlach czy wioskach rozmieszczone są specjalne oddziały Jagdkommando, podporządkowane organom SS i policji. W ich skład wchodzą oficerowie wywiadu, którzy dysponują siecią informatorów wśród ludności i penetrują podejrzane środowiska cywilne. Niezależnie od tego działa żandarmeria, tajna policja wojskowa i służba bezpieczeństwa. Ale to jeszcze nie wszystko, bo oprócz tego jest: tajna policja państwowa — gestapo, policja kryminalna, pomocnicza, policja ochrony wód, przeciwpożarowa i jeszcze jakieś inne. A wszystkie współpracują ze sobą zwalczając ruch oporu i akcje partyzanckie, dość zresztą wątłe i o małym zasięgu, bo w tych warunkach trudno działać. Zwłaszcza, że wszystkie te organizacje mają potężne wsparcie we wszystkich instytucjach, zakładach pracy, biurach i urzędach oraz organizacjach terenowych zobowiązanych do zwalczania poczynań, mogących zagrażać III Rzeszy. Dochodzi do tego miejscowa ludność, pochodzenia niemieckiego lub całkowicie zniemczona, oraz Niemcy ściągnięci tu z krajów nadbałtyckich na miejsce zlikwidowanych Polaków, którzy już

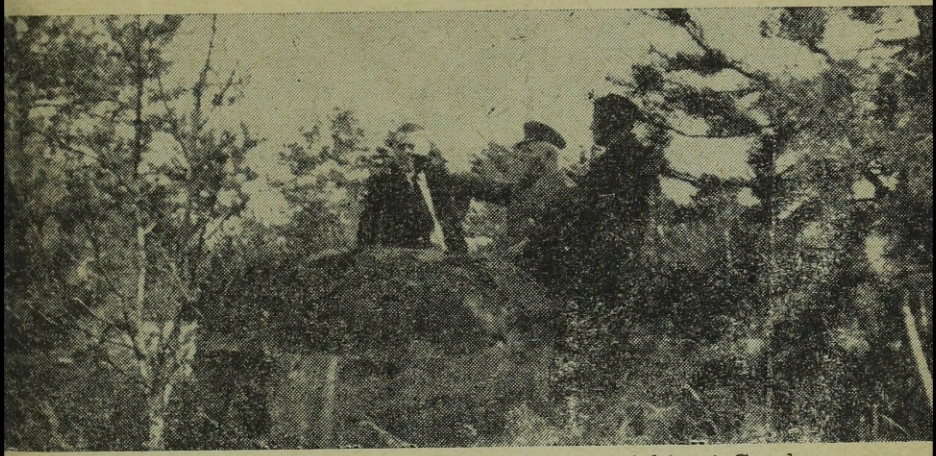

Płk Józef Lipiński wraz z Izydorem Nowowiejskim i Czesławem Zyskiem oglądają fortyfikacje w rejonie Jabłonka-Olsztynek.

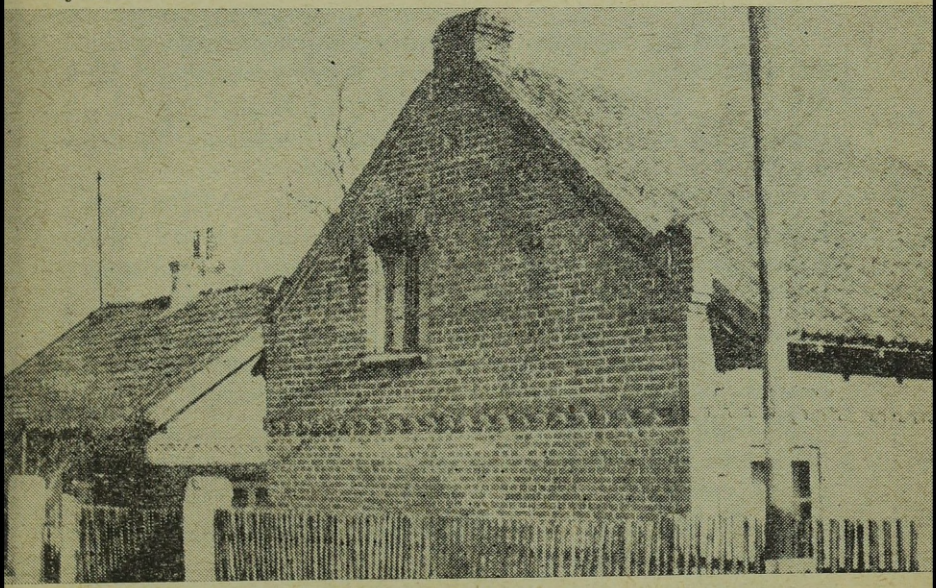

Dom Ernesta Maksa w Jabłonce, gdzie mieścił się punkt kontaktowy grupy „Pomorze".

przed wybuchem wojny znajdowali się na listach gestapo, jako podejrzani.

Stąd tak trudno się poruszać w terenie, bo pojawienie się każdego obcego człowieka natychmiast alarmuje policję lub Jagdkommando. Ponadto wsie są stale kontrolowane przez wzmocnione patrole, a na drogach przeprowadzane są obławy. Każdego człowieka spotkanego w lesie aresztuje się i oddaje w ręce gestapo, by się tłumaczył, dokąd szedł i w jakim celu. Do uciekającego strzelają bez ostrzeżenia.

Widząc, że wszystko to nie wywarło na spadochroniarzach specjalnego wrażenia, komendant rejonu uśmiechnął się i powiedział:

— Przedstawiliśmy wam obraz tego, co nas otacza. A teraz, jeżeli chcecie działać w tych warunkach, możemy przystąpić do omówienia szczegółów współpracy.

W wyniku przeprowadzonej rozmowy placówki AK zapewniły spadochroniarzom: bazy, żywność i lekarstwa, sieć łączności oraz informacje o niemieckich obiektach wojskowych, lotniskach i węzłach kolejowych.

Desantowcy dowiedzieli się, że grupa AK, z którą nawiązali kontakt, posiada mały oddział leśny, składający się z 10 ludzi przebywających w bunkrach. Większość członków żyje poza oddziałem w swoim stałym miejscu zamieszkania i pracuje w rozmaitych zakładach, co w dużej mierze ułatwi spadochroniarzom odbieranie informacji i zaopatrzenia.

Po kilku dniach, dzięki pomocy komendanta rejonu, Jana Rążyckiego, nawiązali łączność z drugą grupą akowską, działającą w Janowie i Muszakach. Rozszerzyło to zasięg ich działania aż po Szczytno, Biskupiec i Kętrzyn.

Szczególnie ważny był rejon Nidzicy, ponieważ

tam przebiegała dawna granica polsko-niemiecka i stamtąd było najbliżej do Olsztyna, Mrągowa i Iławy.

Akowcy działający na tym terenie nie mieli za sobą poważniejszych akcji partyzanckich, bo w tych warunkach trudno było je podejmować, ale wnieśli duży wkład w przerzucanie uciekających z niewoli jeńców polskich i radzieckich na teren powiatu mławskiego, gdzie działały polskie oddziały partyzanckie, oraz w kolportowanie ulotek otrzymywanych spoza Wisły, gdzie pracowała tajna drukarnia Stronnictwa Ludowego.

Zaintrygowani tą wiadomością spadochroniarze zaczęli wypytywać akowców o działalność Batalionów Chłopskich. Otrzymali żartobliwą odpowiedź, że z członkami BCh trudno się spotkać, bowiem pracują w silnej konspiracji, zgodnie z teorią „słowika i sowy". Znaczyło to, że podziemną działalność rozpoczynają po zmierzchu, a o świcie zaczynają normalną, codzienną legalną pracę, w różnych zakładach.

— Dzięki temu są nieuchwytni — wyjaśniał spadochroniarzom jeden z akowców — potrafią jednej nocy zniszczyć kilkadziesiąt mleczarni czy magazynów żywnościowych i zniknąć jak duchy. Bechowcy twierdzą, że dla Niemców najgroźniejsze są takie podziemne oddziały, o których istnieniu wiedzą, lecz nie mogą ich znaleźć i zlikwidować.

Jak dobra była konspiracja ludowców dowodzi fakt, że dopiero po wojnie spadochroniarze dowiedzieli się, iż kilku spośród ich wywiadowców było żołnierzami Batalionów Chłopskich.

Grupa desantowa „Pomorze" przystąpiła do działań.

W zakładaniu skrzynek kontaktowych w rejonie

Nidzicy wybitnie dopomogła im łączniczka AK, Halina Kołakowska, która oprócz tego przekazała im cenne wiadomości o ruchu wojsk niemieckich, magazynach i transportach sprzętu wojennego oraz dostarczyła kilka niemieckich kart tożsamości umożliwiających poruszanie się w terenie.

Wszystko to pozwalało wierzyć, że grupa „Pomorze" utrzyma się na terenie, na którym 12 oddziałów desantowych zrzuconych przed nimi, zostało w szybkim czasie zlikwidowanych.

Po powrocie do swojej leśnej bazy spadochroniarze nawiązali radiową łączność ze sztabem po drugiej stronie frontu, skąd otrzymali rozkaz, aby poza dodotychczas otrzymanymi zleceniami „... zorganizować obserwację i zabezpieczyć dopływ informacji o wszelkich ruchach wojsk niemieckich na trasach kołowych i kolejowych: Iława, Działdowo, Warszawa, Szczytno, Ciechanów, Brodnica, Toruń".

Zadanie nie było łatwe, choćby ze względu na odległości poszczególnych punktów od bazy. Niemniej zdołano w szybkim czasie obsadzić węzeł kolejowy: Iława, Brodnica, Działdowo i Biskupiec, skąd zaczęły napływać wiadomości natychmiast przekazywane do sztabu.

Po ustaleniu nazwisk osób, mieszkających w różnych rejonach i godnych zaufania, oddział desantowy podzielił się na trzy grupy.

Pierwsza w składzie: ppor. Lipiński, ppor. Włoszkowski i st. sierż. Krawiec, udała się w kierunku: Lidzbark, Działdowo, Nidzica.

Druga, w skład której weszli ppor. Piesiór, ppor. Dudzik i st. sierż. Płonka, poszła na Brodnicę, a pozostali na miejscu spadochroniarze mieli się zająć urządzeniem bazy oraz prowadzić rozpoznanie w rejonie lasów lidzbarskich.

Jeden z współpracujących z grupą desantową żołnierzy AK, Izydor Nowowiejski, skontaktował spadochroniarzy ze swoim pracodawcą, Niemcem Ernestem Maksem, antyfaszystą, który zgodził się współpracować z grupą desantową. Była to rzecz nader cenna, bo Ernest Maks znał wielu urzędników cywilnych oraz policjantów i żandarmów, którzy często gościli u niego.

Drugim cennym kontaktem było poznanie „Wiktora", dowódcy oddziału AK w rejonie Działdowa. Jego żołnierze, żyjący poza oddziałem partyzanckim, pracowali w różnych instytucjach niemieckich i posiadali dużo informacji będących przedmiotem zainteresowania spadochroniarzy, m. in. dotyczących węzła kolejowego w Iławie i Działdowie.

Dzięki tym informacjom grupa desantowa mogła przekazać do sztabu szczegółowe wiadomości o ruchu pociągów, przerzutach jednostek niemieckich oraz o transportach wiozących zaopatrzenie, z podaniem numerów pociągów i rodzajów ładunków.

Wiadomości o obozach koncentracyjnych w Działdowie, Iławie i Olsztynku dostarczył mieszkający w Nataci autochton Jan Więcek, który otrzymał polecenie nawiązania kontaktu z przebywającymi w nich ludźmi oraz ustalił nazwiska i adresy wyższych urzędników hitlerowskich pracujących w tych obozach.

W czasie jednego z powrotów do bazy, opodal miejscowości Jabłonka, spadochroniarze natknęli się na patrol niemiecki. Doszło do wymiany ognia i jeden z żandarmów zginął.

Była to ich pierwsza potyczka na tyłach wroga. Mimo jej pomyślnego zakończenia nie byli zadowoleni, bo zwrócili na siebie uwagę i nie ulegało wątpliwości, że Niemcy zaczną ich teraz szukać.

Ze sztabu otrzymali polecenie obserwowania pracy

węzłów kolejowych: Iława—Działdowo—Szczytno—
—Olsztyn, oraz ruchu kołowego na szosach: Lidzbark Warmiński—Olsztyn—Nidzica—Działdowo, w kierunku Warszawy, a następnie na trasie: Szczytno—
—Chorzele—Parciaki.

Niezależnie od tego mieli ustalić, jak przebiegają przygotowania obronne rejonów: Szczytno, Kętrzyn, Giżycko, Nidzica, Olsztynek, Olsztyn, Elbląg.

Wymagało to dalszego rozbudowania sieci wywiadowczej.

W wyniku usilnych starań udało się im zwerbować fachowych agentów, kolejarzy, w większości Niemców polskiego pochodzenia, którzy przekazywali dokładne informacje, zawierające pełną ocenę transportów. Uzyskanie tych danych nie było rzeczą łatwą, ponieważ Niemcy maskowali transporty wojskowe i często transport kierowany na front, jak i transport zdążający w odwrotnym kierunku miały ten sam numer.

Część z tych kolejowych agentów była opłacana, i to dosyć wysoko.

Tymczasem zaczęły napływać meldunki z punktów kontaktowych o prowadzonej na wielką skalę akcji „kopania okopów" i gorączkowych przygotowaniach Niemców do obrony Prus Wschodnich. Do prac przy kopaniu okopów i rozbudowie fortyfikacji Niemcy zwożą masowo jeńców wojennych, rosyjskich, francuskich i polskich oraz Polaków z centralnej Polski, w tym wielu uczestników powstania warszawskiego.

Dalsze meldunki donosiły, że do rejonów Mrągowa, Kętrzyna i Szczytna kierowane są wielkie ilości sprzętu i materiałów do prac fortyfikacyjnych, a w rejonie Działdowa, Nidzicy i Olsztyna wszyscy mieszkańcy zostali zatrudnieni przy kopaniu okopów.

Część akowskiego wywiadu została natychmiast nastawiona na nawiązanie łączności z pracującymi

Niniejszym potwierdzam , że Ob. Władysław Bieńkowski syn Feliksa zamieszkiwał w czasie okupacji m. Nosek pow. Brodnica . W/w był aktywnym członkiem - współpracownikiem Grupy dywersyjno - zwiadowczej działającą w tamtejszym terenie, zrzuconą przez naczelne dowództwo LWP sierpień 1944 - luty 1945 do czasu wyzwolenia tych terenów Do zakresu jego czynności należało zebrać niezbędnych danych , które w tym że okresie były w kręgu zainteresowania grupy desantowo-dywersyjnej. Oprócz powyższych zadań dodatkowo zajmował się zaopatrzeniem grupy w żywność. Między innymi brał czynny udział w niektórych działaniach wraz z grupą desantowo-dywersyjną. Jego bohaterska działalność oraz wysokie wyrobienie patriotyzmu - jako Polak wykonał wszystkie zadania jakie były wstawiane przez dowództwo grupy. Działalność jego była wysoce oceniona przez dowództwo grupy. W wyniku osobistego zaangażowania się w działalność wywiadowczą - jako partyzant został dotknięty niepowetowaną stratą przez okupanta - zostali wymordowani jego najbliżsi. z rodziny .

Władysław Bieńkowski jako żołnierz - partyzant nie załamał się biorąc nadal czynny udział wraz z grupą desantowo-dywersyjną w działaniach wywiadowczych oraz dywersyjnych na terenie pow. Brodnickiego - Działdoskiego.

Należy stwierdzić za jego bohaterską działalność,patriotyczną postawę w pełni sobie zasłużył na uznanie i szacunek do swojej osoby.

Niniejsze zaświadczenie wydaje się na prośbę zainteresowanego celem przedłożenia odnośnym władzom.

BYŁY DOWÓDCA GRUPY DESANTOWO-DYWERSYJNEJ
L W P
płk Józef L I P I Ń S K I

Poświadczenie stwierdzające współpracę z grupą „Pomorze" wywiadowcy Władysława Bieńkowskiego

przy rozbudowie fortyfikacji robotnikami, aby uzyskać informacje mogące stanowić cenne uzupełnienie już posiadanych wiadomości. Nawiązanie kontaktu nie przedstawiało specjalnych trudności, bo Niemcy spędzonych do pracy jeńców i robotników lokowali w budynkach gospodarczych w większych majątkach ziemskich, a nawet w stodołach u bauerów i tam można się było z nimi dość łatwo spotkać.

Polacy, a zwłaszcza ludność wywieziona z Warszawy, pałała nienawiścią do Niemców, i chętnie udzielała wszelkich informacji o rodzaju i zasięgu wykonywanych prac. Wywiadowcy mieli sporo kłopotów z segregowaniem otrzymywanych wiadomości i sprawdzaniem ich przed naniesieniem na mapy. Mieli również trudności z ochotnikami, którzy chcieli wstąpić do ich partyznackiego oddziału i podjąć otwartą walkę z Niemcami.

Niezależnie od masowego zbierania wiadomości, spadochroniarze musieli wzmóc obserwację przy ustalaniu nowych linii pasów obronnych, bunkrów i rowów przeciwczołgowych oraz umocnień obronnych w miastach. Wszystko to wymagało olbrzymich wysiłków i wielkiego nakładu pracy.

Dodatkową trudność stanowił fakt, że po zbrojnym starciu z patrolem spadochroniarzy opodal miejscowości Jabłonka Niemcy uruchomili swój wywiad i z miesięcznym opóźnieniem stwierdzili, iż na terenie Prus Wschodnich działa, zrzucona na ich tyły, grupa zwiadowczo-dywersyjna. Natychmiast podjęli energiczne działania mające na celu jej likwidację.

Jak gdyby tego wszystkiego było za mało, w tym czasie nastąpiła konieczność zmiany dowódcy grupy desantowej.

JEDNOSTKA PANCERNA POD IŁAWĄ

Dowódcą grupy zwiadowczo-dywersyjnej „Pomorze" zrzuconej na tyły wojsk niemieckich w Prusach Wschodnich był dzielny i zdolny oficer, ppor. Henryk Mycko. Niestety, przy swych wszystkich zaletach był zbyt mało odporny psychicznie do tego rodzaju pracy. Złożyło się na to wiele przyczyn, a m. in. jego ciężkie przejścia życiowe przed wstąpieniem do Batalionu Specjalnego. Kryzys pogłębiły warunki, w jakich znaleźli się w Prusach Wschodnich, i stan depresji ppor. Mycki zaczął się pogarszać.

Skacząc na teren wroga spadochroniarze przypuszczali, że wkrótce ruszy ofensywa i wyzwoli tereny, na których przebywali. Niestety, zatrzymanie się wojsk wyzwoleńczych na linii Wisły i Bugo-Narwi wskazywało wyraźnie, że nie szybko to nastąpi, i nie wiadomo było, ile czasu jeszcze będą musieli przebywać na tym niebezpiecznym terenie, nasyconym wojskami niemieckimi i specjalnymi oddziałami Jagdkommando, które zaczęło ich nękać ustawicznymi obławami przeprowadzanymi z typowo germańską dokładnością.

Dowództwo poza frontem, powiadomione drogą radiową o trudnej sytuacji, w jakiej znalazła się grupa „Pomorze", powzięło błyskawiczną decyzję. Dowódcą grupy mianowano ppor. Józefa Lipińskiego, a jego zastępcą ppor. Stefana Zakrzewskiego. Podporucznikowi Mycce przydzielono dwóch spadochroniarzy, ppor. Właszkowskiego i st. sierż. Wilczyńskiego, ustalając dla nich rejon działania: Brodnica—Pokrzydowo. Jednocześnie odciążono ppor. Myckę od spraw wywiadowczych, wymagających ogromnej odporności psychicznej, zlecając mu zajęcie się pracą polityczną wśród ludności polskiej i autochtonów. Pracę wy-

wiadowczą mieli prowadzić dwaj pozostali spadochroniarze.

W trzeciej dekadzie września jeden z najlepszych zwiadowców, autochton Jan Więcek, przekazał spadochroniarzom informację, że jakaś jednostka niemiecka z frontu zachodniego rozładowała się na stacji kolejowej w Iławie i skoncentrowała w lesie iławskim. Miała to być jednostka pancerna w sile dywizji.

Powiadomiony o tym sztab polecił stwierdzić, skąd ta jednostka przybyła i w jakim kierunku zostanie skierowana. Sztabowcom chodziło również o to, czy to faktycznie jest związek taktyczny.

Sprawa była zbyt poważna, by polegać na agentach. Należało więc wybrać się na rozpoznanie i „pochwycić języka".

W skład bojowego patrolu mającego iść pod Iławę weszli spadochroniarze: ppor. Lipiński, ppor. Piesiór, ppor. Waluszkiewicz, ppor. Arens, st. sierż. Krawiec oraz przewodnik — Ernest Maks.

Szli nocą i przed świtem dotarli do miejsca rozlokowania niemieckiej jednostki. Przeprowadzone rozpoznanie potwierdziło, że jest to dywizja, ale dla uzyskania bliższych wiadomości trzeba było zdobyć jeńców.

Zasadzkę zorganizowano wieczorem na leśnej drodze łączącej Iławę ze Stradomnem. Po paru godzinach przyczajeni w zasadzce spadochroniarze usłyszeli niemiecką piosenkę. Drogą, w ich kierunku, szło dwóch Niemców, oficer i podoficer. W momencie kiedy mijali przyczajonych spadochroniarzy, ci wyskoczyli z zarośli i narzuciwszy Niemcom na głowy „płaszcz-pałatki" wciągnęli ich do lasu.

Jak się okazało, byli to oficer-lekarz oraz sanitariusz z tej jednostki pancernej. Przesłuchiwani przez spadochroniarzy zeznali, że obaj są z pułku dywizji

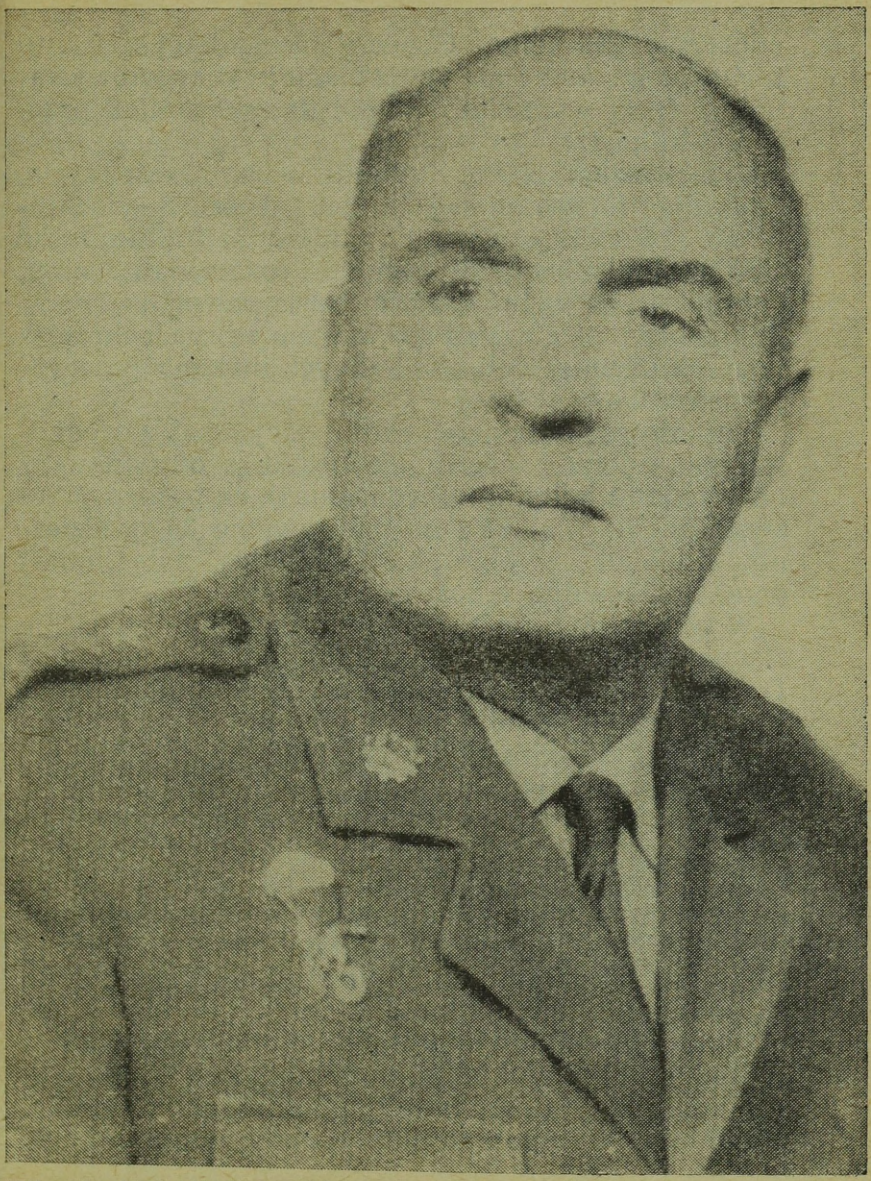

Płk. Józef Lipiński, dowódca grupy „Pomorze"

pancernej „Hermann Goering" ściągniętej z frontu zachodniego, a obecnie uzupełnianej i przygotowywanej na front wschodni. W lesie iławskim mieli przebywać kilka dni.

Przestraszeni Niemcy prosili o darowanie życia, pokazując fotografie swoich żon i dzieci. Spadochroniarze nie mieli zamiaru ich zabijać. Zabrali im tylko znaki tożsamości, jako dowód, że rozmawiali z nimi, i wypuścili na wolność. Było rzeczą pewną, że Niemcy nie będą się chwalili spotkaniem ze spadochroniarzami, którym udzielili dokładnych informacji o swojej jednostce pancernej.

Desantowcy rozciągnęli obserwacje nad ześrodkowaniem rejonu pancernej jednostki, a otrzymawszy od wywiadu kolejowego wiadomość, że pociągi przeznaczone dla niej zostaną podstawione 20 października i pojadą w kierunku Działdowa, natychmiast przekazali meldunek poza linie frontu.

W tym samym dniu wieczorem samoloty radzieckie zbombardowały niemiecką kolumnę pancerną pod Działdowem. Niemieccy pancerniacy nie zdążyli dojechać na front wschodni.

Po paru dniach spadochroniarze podjęli drugą akcję na terenie Iławy.

Z punktu kontaktowego otrzymali dane dotyczące komendanta obozu w Iławie, filii obozu koncentracyjnego w Działdowie. Gestapowiec ten miał opinię sadysty znęcającego się nad jeńcami wojennymi i więźniami, a zwłaszcza nad kobietami. Był postrachem nie tylko więźniów, ale i mieszkańców Iławy. Bała się go cała okoliczna ludność.

Po krótkiej naradzie postanowiono zlikwidować go w jego luksusowej willi na przedmieściach Iławy, której dokładny plan dostarczył spadochroniarzom Ernest Maks, dziwnie zawzięty na komendanta obozu.

Jak się później okazało, ktoś z bliskich Ernesta Maksa był więziony w obozie w Iławie.

Wyrok mieli wykonać ppor. Piesiór i st. sierż. Krawiec, którzy przebrali się w mundury SS, a ubezpieczać ich mieli: ppor. Lipiński, ppor. Waluszkiewicz i ppor. Arens, w cywilnych ubraniach z automatami pod połami płaszczy.

Zajechali przed willę zarekwirowanym na drodze niemieckim samochodem. Wysiedli z wozu pozostawiając go na jednej z bocznych ulic.

Z chwilą gdy ubezpieczający akcję spadochroniarze zajęli swoje stanowiska, przebrani za esesmanów ppor. Piesiór i st. sierż. Krawiec wmaszerowali do willi, oznajmiając żonie gestapowca, że przywieźli rozkazy z Działdowa i mają je wręczyć osobiście.

Niemka poinformowała ich, że męża jeszcze nie ma, ale telefonował przed chwilą o swoim wyjeździe z obozu. Ppor. Piesiór został w willi, zabawiając Niemkę rozmową, a st. sier. Krawiec wyszedł na ulicę, aby powiadomić kolegów o opóźnieniu akcji, po czym zawrócił do budynku. Nie czekali zbyt długo. Przed willę zajechał samochód, z którego wysiadł barczysty mężczyzna i odprawiwszy kierowcę wszedł do domu. Za chwilę powinny paść strzały. Minęło kilka minut — cisza.

Zaniepokojony ppor. Lipiński wbiegł do willi i ujrzał dramatyczną scenę. Potężnie zbudowany gestapowiec szamotał się ze zwiadowcami, a pistolet st. sierż. Krawca leżał na podłodze. Nie namyślając się długo, ppor. Lipiński krzyknął do kolegów:

— Odsuńcie się od niego!... — I w momencie gdy odskoczyli, pociągnął długą serię z automatu, z góry na dół, kładąc Niemca trupem.

Odprowadzani wrzaskiem zawodzącej Niemki, wy-

padli przed willę i zniknęli w ciemnościach.

Po drodze ppor. Piesiór opowiedział kolegom z ubezpieczenia, jak się rozegrała pierwsza faza ich walki z gestapowcem.

Gdy Niemiec wszedł do willi, pozdrowili go okrzykiem: „Heil Hitler!" Lecz gestapowiec widocznie zorientował się, kim są, i natychmiast skoczył na st. sierż. Krawca, chwytając go za barki i wybijając mu z dłoni pistolet, który upadł na podłogę. Ppor. Piesiór bał się strzelać, aby nie zranić kolegi szamoczącego się z Niemcem, więc podskoczył do niego chcąc go przewrócić i wtedy dopiero strzelać. Ale nie dał rady, bo silny jak bawół Niemiec, mając śmierć przed oczami, bronił się rozpaczliwie.

Nagle usłyszeli okrzyk: „Odsuńcie się od niego!"

— To cud, żeś nas nie trafił — uśmiechnął się ppor. Piesiór — bo nasze automaty mają duży rozrzut.

— Dlatego ciągnąłem serię z góry na dół — odpowiedział ppor. Lipiński.

Wiadomość o zastrzeleniu gestapowca rozeszła się z szybkością błyskawicy i nie tylko więźniowie, ale wszyscy mieszkańcy Iławy odetchnęli, ciesząc się ze zgładzenia sadystycznego zbrodniarza.

Po powrocie do bazy spadochroniarze dowiedzieli się od jednego ze swoich zwiadowców, Jana Urbańskiego, że opodal ich kryjówki, w Gutowie, została zrzucona jakaś grupa dywersyjna, którą zlikwidowano w przeciągu paru dni.

Natychmiast przekazali o tym meldunek do sztabu, ale nie otrzymali potwierdzenia. Doszli więc do wniosku, że nie była to grupa dywersyjna, lecz uciekinierzy z obozów jenieckich, którzy chcieli się przedostać do centralnej Polski.

W parę dni później dotarł do nich, przekazany z Za-

borowa, meldunek Kostki Nachtygała, że w tamtej okolicy krąży jakaś grupa, której członkowie podają się za spadochroniarzy i namawiają Polaków oraz Niemców polskiego pochodzenia, żeby wstępowali do ich oddziału.

Nie ulegało wątpliwości, że jest to prowokacja gestapo, pragnącego natrafić na ślady prowadzące do grupy „Pomorze", o której działalności krążyły już legendy.

Wywiad akowski potwierdził te przypuszczenia i natychmiast rozesłał łączników, aby ostrzegali ludzi przed prowokacją i śledzili ruchy domniemanych spadochroniarzy.

W tym samym czasie silne oddziały Jagdkommando rozpoczęły planowe „przeczesywanie" okolicznych lasów.

Należało na jakiś czas zaprzestać działalności, ale spadochroniarze nie mogli tego zrobić ze względu na swoich współpracowników oraz polską ludność, która domagała się podejmowania akcji bojowych.

W pierwszych dniach października Leonard Piotrowski przysłał wiadomość, że w rejonie Jamielnika została zrzucona dziewięcioosobowa grupa desantowa, która na drugi dzień po lądowaniu wpadła w obławę prowadzoną przez Jagdkommando i została rozbita.

Informacja, ze względu na osobę nadawcy, zasługiwała na pełne zaufanie. Zażądano więc tylko bliższych szczegółów. Po paru dniach nadszedł meldunek: „Grupa w składzie 9 osób wpadła w zasadzkę zorganizowaną przez oddziały Jagdkommando przeszukujące lasy. Część ludzi desantu została zlikwidowana w czasie walki. Radiotelegrafistce udało się zbiec i błądząc przybyła do Bełku, do samotnego domu pod lasem, w którym mieszkał Jędraszczak, prosząc go o pomoc..."

Dalszy przebieg wydarzeń przedstawiał się następująco:

Jędraszczakowie opatrzyli i nakarmili dziewczynę, ale przyszła do nich córka sołtysa Rybackiego, która zorientowała się, że w mieszkaniu przebywa ktoś obcy. Natychmiast powiadomiła o tym swego ojca, a ten Jagdkommando w Lidzbarku. Niemcy przyjechali do Bełku i otoczyli dom Jędraszczaka. Wyprowadzili rodzinę, a zabarykadowaną w jednej z izb radiotelegrafistkę wezwali do poddania się, grożąc podpaleniem domu. Radziecka telegrafistka nie chciała się poddać i podjęła walkę z Niemcami, zniszczywszy przedtem radiostację i szyfry. Zginęła postrzelana seriami z automatów.

W meldunku Piotrowskiego była również wzmianka, że poza radiotelegrafistką przez pierścień niemiecki przedostał się ranny spadochroniarz, który znalazł schronienie w mieszkaniu Polaka w miejscowości Ostrowy.

Natychmiast wysłano patrol, który przyprowadził rannego spadochroniarza do leśnej bazy grupy „Pomorze". Był to dowódca desantu, w stopniu kapitana, który podał swój pseudonim „Wołodia", i wyjaśnił, że w ich dziewięcioosobowej grupie było 5 Niemców, z Komitetu „Wolne Niemcy", i wszyscy, poza nim i radiotelegrafistką, zginęli w walce z Jagdkommando.

W drodze korespondencji radiowej ze Sztabem spadochroniarze otrzymali potwierdzenie zrzucenia takiej grupy wraz z prośbą o zaopiekowanie się kpt. „Wołodią".

ZDRAJCY I AGENCI GESTAPO

Postanowiono pomścić śmierć radzieckiej telegrafistki. Po przeprowadzeniu rozpoznania grupa bojowa

złożona z ppor. Piesióra, ppor. Dudzika, kpt. „Wołodi" i przewodnika, leśniczego Grzonkowskiego, udała się do Bełku.

Dom sołtysa Rybackiego był zamknięty i zabarykadowany, ale z pomocą spadochroniarzom przyszedł jego sąsiad, który zaczął wołać, że żona mu ciężko zachorowała i prosi o podpisanie skierowania jej do szpitala.

Sołtys Rybacki poznał sąsiada po głosie i, nie przeczuwając podstępu, otworzył drzwi.

Zanim się zorientował i zdążył sięgnąć po broń, został obezwładniony. Oznajmiono mu, że on i jego córka, aktywistka hitlerowska znana w okolicy z bestialskiego katowania polskich dziewcząt pracujących przymusowo u bauerów niemieckich, zostaną rozstrzelani za zawiadomienie Jagdkommando o ukrywającej się u Jędraszczaków radiotelegrafistce radzieckiej.

Wyrok został wykonany.

Następnego dnia rozwścieczeni działalnością spadochroniarzy Niemcy ściągnęli w okolice lasów lidzbarskich większą ilość żandarmów, żołnierzy oraz uzbrojonych osób cywilnych i zorganizowali obławę. Tyraliery niemieckie z pomocą psów policyjnych przeszukiwały las, ostrzeliwując gęste zarośla, a w miejsca trudno dostępne rzucając granaty ręczne. Obława coraz bardziej zbliżała się do partyzanckiej kryjówki i sytuacja stawała się groźna. Projekt wycofania się w stronę jeziora Czarny Bryńsk i ukrycia się na jego brzegach uznano za zbyt ryzykowny, bo uniemożliwiający nawiązanie walki stwarzającej szansę wyjścia z okrążenia.

Tyraliera niemiecka była coraz bliżej. Spadochroniarze, licząc się z tym, że nie wyjdą żywi, nawiązali

radiową łączność ze sztabem i powiadomili go o swojej sytuacji.

Odpowiedź uzyskali błyskawicznie:

„Starajcie się wyjść z okrążenia, wywołując panikę wśród otaczających was Niemców".

Była to chyba jedyna rozsądna rada, jaką mogli otrzymać.

Ppor. Lipiński, stawiając wszystko na jedną kartę, polecił swoim żołnierzom zająć najdogodniejsze pozycje, podpuścić tyralierę niemiecką na bliską odległość i zaskoczyć przeciwnika gwałtownym ogniem oraz wykorzystując zamieszanie w jego szeregach, podjąć próbę wyrwania się z okrążenia.

Tyraliera zbliżała się. Coraz wyraźniej słychać było komendy oficerów, gwizdki żandarmów, szczekanie psów, strzały i huk granatów ręcznych. Wreszcie pomiędzy drzewami ukazały się sylwetki żołnierzy niemieckich biegnących ku Polakom z bronią gotową do strzału.

— Podpuścić ich na 50 metrów! — podał rozkaz ppor. Lipiński.

Wytrzymali nerwowo i gdy Niemcy zbliżyli się na tę odległość, otworzyli do nich huraganowy ogień, zabijając i raniąc kilkunastu zaskoczonych żołnierzy. W ułamek sekundy później uderzyli w wyrąbaną ogniem lukę w tyralierze niemieckiej i przerwali się przez linię okrążenia.

Mieli dużo szczęścia, że trafili na tyralierę żołnierzy z regularnych jednostek Wehrmachtu, a więc nie zaprawionych w tego rodzaju walce.

Panika, jak powstała wśród Niemców, opóźniła pościg za wycofującymi się w głąb lasu spadochroniarzami, którzy klucząc zaroślami przedzierali się w kierunku swojej zapasowej bazy leżącej w okolicy Jeziora Cichego.

Niemcy jeszcze dwa dni krążyli po lasach, bezskutecznie poszukując kryjówek partyzanckich. Wreszcie zakończyli tę ogromną obławę, ale oddziały żandarmerii i Jagdkommando wciąż patrolowały lasy i okoliczne wioski licząc, że wpadną wreszcie na ślad nieuchwytnej grupy desantowej.

Leśniczy Herman Wajder i Dominik Grzonkowski powiadomili spadochroniarzy, że byli wzywani do gestapo w Brodnicy, gdzie wypytywano ich o partyzantów. Nie ulegało wątpliwości, że wywiad niemiecki zaczyna się nimi coraz bardziej interesować. Wzmożono więc ostrożność i ograniczono ilość spotkań z łącznikami.

Po jakimś czasie otrzymali wiadomość, że w Czarnym Bryńsku w mieszkaniu ich współpracownika, Władysława Smolińskiego zatrzymał się jakiś mężczyzna mówiący po rosyjsku, który rzekomo uciekł z obozu jenieckiego i szuka kontaktu z polskimi partyzantami.

Trzeba go było stamtąd jak najszybciej wydostać, ażeby nie spowodować represji, które dla rodziny Smolińskiego mogły się smutno zakończyć.

Zadanie to powierzono ppor. Zakrzewskiemu i Waluszkiewiczowi, którzy poszli do Czarnego Bryńska i podając się za partyzantów przyprowadzili tego mężczyznę do leśnej bazy. Nieznajomy przedstawił się jako oficer armii radzieckiej i wyjaśnił, że zbiegł z transportu jenieckiego na trasie Toruń—Brodnica. Podał swoje imię i nazwisko oraz jednostkę wojskową, w której służył przed wzięciem go do niewoli.

Zatrzymano go w obozie, a sztab powiadomiono o tym fakcie, prosząc o zidentyfikowanie przybysza. Odpowiedź długo nie nadchodziła. Nie pozostawało więc nic innego, jak wziąć zatrzymanego pod dyskretną i stałą obserwację.

Zachowywał się wzorowo, a interesowało go specjalnie malarstwo i radiotechnika. Po dwóch tygodniach obserwacji stwierdzono podczas dyskretnej rewizji jego marynarki, że prowadzi notatki będące właściwie dziennikiem działań oddziału i wykonuje ołówkiem, zupełnie udane, portrety poszczególnych spadochroniarzy.

Ponadto spisał nazwiska i pseudonimy ludzi, z którymi kontaktowano się w bazie i pobliskiej okolicy.

Sprawa była jasna. Gestapo, nie mogąc uzyskać informatorów na zewnątrz, zaczęło nasyłać agentów, polecając im dostać się do oddziału i tam działać.

Przybysz, po przedstawieniu dowodów, załamał się i przyznał, że współpracuje z wywiadem niemieckim. Przerzucono go w okolice Brodnicy z zadaniem umiejscowienia grupy dywersyjnej i zniszczenia radiostacji nadawczo-odbiorczej. Meldunki miał przekazywać, a raczej pozostawiać, w ustalonym punkcie na skrzyżowaniu dróg, opodal drogowskazu, w pudełku od zapałek oznaczonym literami: PU — „paraszutniki". Nie uczynił tego jednak, bowiem zauważył, że jest pod stałą obserwacją.

Spadochroniarze, widząc, że wywiad niemiecki depcze im po piętach, postanowili wykonać kilka akcji dywersyjnych daleko od swej bazy, w rejonie Olsztyna i Kętrzyna, co niewątpliwie wywołałoby panikę i zdenerwowanie Niemców. Na przeszkodzie stanął jednak brak trotylu, więc w kolejnym meldunku do sztabu poprosili o dokonanie zrzutu materiałów wybuchowych.

Sztab wyraził zgodę na przeprowadzenie akcji zrzutowej. Ustalono terminy i sygnały oraz dwa zrzutowiska — zasadnicze i zapasowe.

Samolot przylatywał dwukrotnie nad ustalone

miejsca, ale spadochroniarze nie mogli podać sygnału, ponieważ w pobliżu krążyły patrole niemieckie, które dniem i nocą, bez przerwy, penetrowały okoliczne lasy.

Po nawiązaniu łączności radiowej z grupą desantową ppor. Jana Miętkiego, działającą na Pomorzu w rejonie Borów Tucholskich, zdecydowano się na dokonanie zrzutu tam, a następnie przetransportowanie go za Wisłę do grupy „Pomorze".

Po odbiór zrzutu do Borów Tucholskich wyruszyli: ppor. Mycko, Piesiór, Właszkowski i st. sierż. Krawiec. Po kilku dniach wrócili jednak z pustymi rękami. Nie udało im się. Wisła była czujnie strzeżona przez silne posterunki niemieckie. Podczas jednej z prób sforsowania jej doszło do strzelaniny i spadochroniarze ledwo się wydostali z przygotowanej na nich zasadzki.

Jedyną korzyścią z tej wyprawy było zebranie wiadomości o umocnieniach niemieckich w tych rejonach.

TAJEMNICZY OBIEKT

Chociaż zrzut materiałów wybuchowych nie doszedł do skutku, spadochroniarze postanowili przeprowadzić dywersję kolejową. Od zawiadowcy stacji Nowe Miasto otrzymali wiadomość, że do Iławy przez Brodnicę będzie szedł w kierunku frontu duży transport wojskowy.

Zamachu na pociąg postanowiono dokonać opodal Tamy Brodzkiej, gdzie po obu stronach nasypu kolejowego rosły dość gęste zarośla. Obawiając się, że kilka, bo zaledwie tyle im pozostało, kostek trotylu może nie spowodować katastrofy, postanowiono użyć jesz-

cze klinów dębowych, przygotowanych przez Franciszka Stawickiego.

O ustalonej godzinie w kierunku Tamy Brodzkiej wymaszerowali: ppor. Lipiński, Zakrzewski, Dudzik, Waluszkiewicz, Krawiec oraz dwaj żołnierze AK, Franciszek Stawicki i Eugeniusz Gilginas. Podzieleni na małe, paroosobowe grupy podeszli do toru i wzięli się do pracy. Część ubezpieczała minierów, którzy rozrzucali kamienie pod szynami, aby założyć kostki trotylu, a Franciszek Stawicki montował swoje kliny dębowe. Minierzy pracowali spokojnie wiedząc, że pozostali koledzy tworzą ochronę.

Po założeniu ładunków i detonatora, zsunęli się z nasypu i zniknęli w zaroślach.

Ppor. Lipiński część ludzi odesłał do bazy, a sam, wraz ze st. sierż. Krawcem pozostał, aby zobaczyć końcowy efekt.

Przyczajeni na pobliskim wzgórku, z którego dokładnie widzieli szyny, co chwila spoglądali na zegarki. Wreszcie, o podanej przez wywiadowcę godzinie, usłyszeli dalekie dudnienie zbliżającego się pociągu.

— Niemcy są bardzo punktualni! — szepnął z uznaniem st. sierż. Krawiec.

Dudnienie pociągu narasta. Chwile oczekiwania i na niedalekim zakręcie ukazuje się ciemna sylwetka parowozu, ciągnąca za sobą długi sznur wagonów. Łoskot nadjeżdżającego pociągu potężnieje z każdą chwilą. Parowóz wyrzuca w górę snopy migocących w ciemnościach iskier. Cała ta hucząca masa żelastwa zbliża się ku zasadzce.

Nagle powietrzem wstrząsa gromowy łoskot. Lokomotywa znika w błysku płomieni, a potem stacza się z toru, pociągając za sobą najbliższe wagony.

Słychać chrzęst i jazgot łamiącego się żelastwa, roz-

paczliwe wycie syreny, terkot strzałów, a szarosina kurzawa przesłania wszystko.

Część wykolejonych wagonów płonie, oświetlając osypisko i pobliskie zarośla.

Słychać huk eksplodujących cystern z benzyną i przeraźliwe gwizdki komend, a potem krzyki ludzi wzywających pomocy.

Niemcy zablokowali teren eksplozji nie dopuszczając tam ludności cywilnej. Wojsko i służby pomocnicze przystąpiły do usuwania szczątków wysadzonego transportu, a następnie do reperacji torów.

Była to największa dywersja kolejowa na tym terenie. Wieść o niej odbiła się szerokim echem w całych Prusach Wschodnich. Ludność polska, nawet z odległych miejscowości, przesyłała wykonawcom gratulacje i prośby o ponawianie podobnej działalności.

A zadań nie brakowało. Syn Leonarda Zamkowskiego, człowieka współpracującego z desantem, służył w Wehrmachcie i stacjonował w jednostce, której powierzono pilnowanie produkcji specjalnej w Gdańsku. Jak się okazało, wytwarzano w nim nowe maski przeciwgazowe.

Wiadomość była zbyt ważna, aby jej natychmiast nie przekazać do sztabu. W odpowiedzi na tę informację sztab zażądał dostarczenia jednej z takich masek. Nie było to zadanie proste. W tym czasie front stał na Wiśle i Narwi, o 200 km od partyzanckiej bazy. Już samo dotarcie do linii frontu nie było rzeczą prostą ze względu na nasycenie terenu wojskami niemieckimi. Ostatecznie po zastanowieniu się powierzono całą sprawę ppor. Właszkowskiemu, który znał dobrze tereny podwarszawskie i miał znajomego, Dominika

Zyska, mieszkającego w okolicach Nowogrodu nad Narwią.

Maska powędrowała w stronę frontu, ale przetransportowanie jej na drugą stronę okazało się niemożliwością. Próby przedostania się przez linię frontu podejmował Dominik Zysk, a następnie jego syn, Czesław. Niestety, bezskutecznie.

Postanowiono zbadać maskę na miejscu, porównując ją ze starym typem niemieckiej maski przeciwgazowej. Okazało się, że nowa różni się od starej jedynie kształtem pochłaniacza, którego zawartość nie uległa żadnej zmianie.

Wyniki badania zostały przekazane do sztabu z uwagą, że masowa produkcja masek przeciwgazowych wskazuje na możliwość użycia przez Niemców gazów trujących.

Mniej więcej w tym samym czasie leśniczy Herman Wajder przesłał informację, że przebywa u niego na urlopie jego krewny, żołnierz Wehrmachtu, Maks Schmidt, który pełni służbę w Kętrzynie, w ochronie jakiegoś specjalnego obiektu, którego przeznaczenia nikt nie zna. Wiadomo tylko, że jest on bardzo strzeżony, a żołnierzom pełniącym służbę w jego ochronie polecono zachować ścisłą tajemnicę i nie rozmawiać na ten temat z nikim, nawet z żołnierzami innych jednostek niemieckich.

Zaintrygowani tą wiadomością spadochroniarze postanowili spotkać się z Maksem Schmidtem, ażeby z bezpośredniej rozmowy dowiedzieć się czegoś więcej. Spotkanie zorganizowano w mieszkaniu Hermana Wajdera.

Jak się okazało, wehrmachtowiec Maks Schmidt był jeszcze większym przeciwnikiem Hitlera niż jego kuzyn i szybko znaleziono wspólny język. Spadochroniarze przypuszczali, że ten tajemniczy obiekt, strze-

Józef Krawiec, żołnierz grupy „Pomorze"

żony przez jednostkę Maksa Schmidta, jest jakimś zakonspirowanym magazynem, ale żołnierz tłumaczył im, że gdyby tak było, to do tego magazynu zajeżdżałyby lub wyjeżdżały z niego jakieś duże transporty. Tymczasem nie zauważył tam żadnego ruchu transportowego.

— Owszem — przypomniał sobie po chwili. — Jeździły tam samochody, ale z materiałami budowlanymi do dalszej rozbudowy obiektu. Obecnie widuje się jedynie samochody osobowe lub wozy transportowe z wojskiem, zatrzymujące się przy zewnętrznym pasie ochrony, ale nigdy nie wyjeżdżające dalej.

— A czy jest tam jakieś lotnisko? — spytał ppor. Lipiński.

— Tak — odpowiedział Maks Schmidt. — Ale lądują tam i startują tylko samoloty transportowe oraz łącznikowe.

— Czy poza jednostkami Wehrmachtu strzegącymi obiektu są tam jeszcze jakieś inne oddziały?

— Tak. Są to silne oddziały SS oraz specjalne, które nie stykają się z nami.

Ppor. Lipiński zastanawiał się chwilę i polecił Schmidtowi, aby po powrocie do swojej jednostki ustalił, kto przyjeżdża lub przylatuje samolotami do tego obiektu, czy są to oficerowie wyżsi, czy może osoby cywilne oraz czy obiekt jest stale strzeżony, czy też tylko w pewnych okresach?

Pod koniec października Schmidt przekazał meldunek, w którym donosił, że obiekt znajduje się w lasach i jest z góry osłonięty siatkami maskującymi. Jego oddział pełni służbę na drugim pierścieniu ochrony. Przejścia w głąb strzegą oddziały SS. Żołnierze z jego jednostki nie mają prawa wstępu na chroniony przez esesmanów teren. Często jest zarządzane pogotowie bojowe, a ich dowództwo tłumaczy to prze-

widzianą kontrolą ze sztabu. Oprócz transportów z żywnością żadnych innych nie wykrył. Przyjeżdżający oficerowie — to w większości sztabowcy i generałowie.

Meldunek Schmidta został przekazany do sztabu, skąd w bardzo szybkim tempie nadeszła odpowiedź wraz z poleceniem ustalenia charakteru obiektu.

Informacje uzyskane od Schmidta zostały potwierdzone przez innego żołnierza Wehrmachtu pełniącego służbę w Kętrzynie w tamtejszym oddziale wartowniczym.

Żołnierz ten przebywał na urlopie w Traczyskach i tam spotkał się z wywiadowcą, Janem Urbańskim, który zaprosił go do siebie i w trakcie rozmowy pociągnął wehrmachtowca za język, wypytując o przebieg jego służby wojskowej.

Niezależnie od tego uruchomiono w okolicach Kętrzyna wywiad akowski, którego członkowie wyrazili przypuszczenie, że mogą tam być zakłady przygotowywane do produkcji tzw. „ciężkiej wody".

Po przekazaniu tych wszystkich wiadomości do sztabu otrzymali nowe polecenie. Brzmiało ono:

— Maszerować na Kętrzyn i przeprowadzić rozpoznanie!

W tym czasie Niemcy gorączkowo rozbudowywali fortyfikacje na całym terenie Prus Wschodnich i wszędzie formowali oddziały Volkssturmu, do którego wcielono również wielu dotychczasowych współpracowników spadochroniarzy, bez pomocy których trudniej im było działać. Ponadto niemal wszystkie miejscowości były patrolowane przez oddziały żandarmerii niemieckiej poszukującej uciekinierów z robót fortyfikacyjnych.

Podczas przygotowań do marszu pod Kętrzyn przeprowadzono nową dywersję kolejową, wysadzając po-

ciąg wojskowy jadący z Iławy do Brodnicy. Celem akcji było ściągnięcie uwagi Niemców na rejon daleki od trasy planowanego marszu na Kętrzyn oraz podniesienie na duchu okolicznej ludności.

Wróciwszy z tej akcji do swej leśnej bazy spadochroniarze dowiedzieli się, że w okolicach Nowego Miasta, Szczytna i Nidzicy zostały zlikwidowane przez Niemców jakieś grupy desantowe zrzucone w tamtejszych lasach. Jak później stwierdzili, były to mieszane grupy radziecko-niemieckie. Członkami ich byli m. in. należący do Komitetu „Wolnych Niemiec", a pochodzący z Prus Wschodnich dawni wehrmachtowcy, którzy usiłowali nawiązać kontakt i współpracę ze swymi rodzinami, będącymi pod obserwacją gestapo.

Na rozpoznanie obiektu w Kętrzynie wyruszyła grupa spadochroniarzy w składzie: Lipiński, Włoszkowski, Piesiór, Krawiec oraz, jako przewodnik, leśniczy Herman Wajder, który z racji swej funkcji mógł swobodnie poruszać się po terenie.

Początkowo szli przez rejony, na których działały oddziały AK, to znaczy przez: Działdowo, Nidzicę, Szczytno, Reszel. Mieli więc wsparcie i pomoc we wszystkich poczynaniach, a nawet na trasie Nidzica——Szczytno zostali przewiezieni samochodem przez swego współpracownika Maksa. Potem musieli poprzestać na przewodnikach autochtonach, znających okolice. Maszerowali nocami, na dzień zapadając na odpoczynek w lasach lub punktach kontaktowych, niestety, coraz mniej licznych. Często też nakładali drogi, aby ominąć gęsto krążące patrole niemieckie. Mimo tych trudności tempo ich marszu było dobre, bo pokonywali około trzydziestu kilometrów dziennie. Po kilku dniach znaleźli się w lasach kętrzyńskich.

Przed dojściem do tego rejonu odłączył się od nich przewodnik, leśniczy Herman Wajder, który musiał zawrócić w swoje strony, aby zbyt długą nieobecnością nie wzbudzić podejrzeń.

Lipiński, Piesiór, Włoszkowski i Krawiec pomaszerowali w stronę interesującego ich obiektu posługując się busolą i mapą, dostarczoną przez współpracowników.

Przed zapadnięciem zmroku, rozglądając się za jakąś kryjówką, w którą mogliby zapaść, aby wypocząć przed akcją, dostrzegli samotne baraki stojące na skraju lasu. Nie ulegało wątpliwości, że są one bazą robotników spędzonych do rozbudowy fortyfikacji w tym rejonie. Po krótkiej naradzie postanowili wysłać zwiadowcę, który zorientuje się w sytuacji i zdobędzie jakieś informacje o interesującym ich terenie. Jako ochotnik zgłosił się Piesiór, najlepiej mówiący po niemiecku.

— Będę udawał robotnika uciekającego z robót fortyfikacyjnych — zaśmiał się oddając broń kolegom.

Po paru godzinach wrócił przynosząc dwa bochenki chleba i sporo wiadomości. Jak wynikało z jego relacji, w pobliżu baraków spotkał dwóch przymusowych robotników, Polaków z Pomorza, którym przedstawił się jako uciekinier z prac fortyfikacyjnych. Zdumieni jego ryzykancką odwagą, bo Niemcy nie żartowali i potrafili na śmierć zakatować takich uciekinierów, ostrzegali go, ażeby nie uciekał w stronę Kętrzyna.

— Słyszeliśmy od Niemców pracujących z nami, że ten teren od niedawna jest bardzo pilnie strzeżony — mówili słuchającemu ich uważnie spadochroniarzowi. — Wpadniesz w ręce Niemców i zakatują cię na miejscu, jak wszystkich tam złapanych. Nie oszczędzają nawet Niemców. Tam nikt nie ma prawa się zbliżać!

— A co tam właściwie jest, że tak bardzo pilnują?

— Nie wiadomo — padła odpowiedź. — Ale nasi Niemcy szepczą sobie po cichu, że to tam był ten nieudany zamach na Hitlera, z którego cudem wyszedł cało.

Słuchający Piesióra spadochroniarze popatrzyli na siebie.

Jeszcze przed desantowaniem na teren Prus słyszeli pogłoski o nieudanej próbie zgładzenia Hitlera przez grupę wyższych oficerów, ale ani o miejscu zamachu, ani o szczegółach tej akcji nic nigdzie nie mówiono.

— Czyżby to było tutaj? — zastanowił się ppor. Lipiński.

— Wygląda na to — roześmiał się Krawiec — że podejmujemy desant na kwaterę Hitlera!

Żartując, nawet nie przypuszczał, jak bliski był prawdy.

— Co by to nie było — powiedział ppor. Lipiński — mamy rozkaz rozpoznania obiektu i zadanie musi być wykonane.

— Ale jak się tam przedostaniemy? — spytał Włoszkowski.

— Bo jeżeli robotnicy nie przesadzali, nie ma żadnej szansy, aby się przedostać przez kordon straży i patroli.

— Bez względu na trudności musimy podjąć próbę! — oznajmił kolegom ppor. Lipiński.

Nocą pomaszerowali dalej i znaleźli się w głębi lasów kętrzyńskich, o piętnaście kilometrów od interesującego ich obiektu.

Zapadli w leśnej kryjówce i odpoczywali uzupełniając dane dotyczące fortyfikacji niemieckich, które mijali maszerując w stronę Kętrzyna, i nanosząc je na mapy sztabowe. O zmierzchu wysłali patrol na penetrację terenu. Niestety, został on z miejsca

dostrzeżony przez posterunki niemieckie, które strzegły dostępu do zewnętrznego pierścienia.

— Narobiliśmy alarmu! — zmartwił się ppor. Lipiński.

— Chyba nie — odpowiedział Krawiec — bo jak po pierwszym strzale przypadliśmy do ziemi, to opodal nas przemknęły cienie jakichś zwierząt i sądząc z reakcji wartowników, przypuszczają, że zaalarmowały ich zwierzęta. Nawet nie wysłali patroli i rozeszli się spokojnie.

Lipiński odetchnął z ulgą.

— Najgorsze — mówił dalej Krawiec — że to, co widzieliśmy po drodze, nie zgadza się z naszą mapą. Cały krajobraz zmieniony, ani tych dróg, ani budynków, które mamy na naszej mapie. I nigdzie po drodze nie spotkaliśmy żadnego człowieka poza wartownikami.

Podobna historia powtórzyła się nazajutrz. Wszędzie napotykano zapory z drutu kolczastego, przed którymi rozciągał się szeroki, zaminowany pas ziemi, pełen „wilczych dołów" i zamaskowanych pułapek. Na pierścieniu zasieków znajdowały się liczne wieże strażnicze z reflektorami, obsadzone załogami uzbrojonymi w karabiny maszynowe, a pomiędzy wieżami krążyły patrole.

Nie wiedzieli, że niezależnie od tego zewnętrznego systemu obronnego istniał drugi, wewnętrzny, składający się z trzech „stref", osobno ogrodzonych i strzeżonych przez bataliony „Leibstandarte" — przyboczną gwardię Hitlera — oraz specjalnie dobranych żołnierzy z pułku „Grossdeutschland".

Mimo że na rozpoznanie rejonu w promieniu 15 kilometrów spadochroniarze poświęcili dużo czasu, nie zdołali znaleźć żadnej szczeliny, którą mogliby się przedostać bliżej tego tajemniczego i tak starannie

strzeżonego obiektu. Podjęli więc obserwację dróg dojazdowych, którymi od czasu do czasu przemykały ciężarówki wiozące zaopatrzenie lub wojsko, ale nie mogli na tym poprzestać.

— Łączność! — powiedział na zaimprowizowanej naradzie ppor. Lipiński. — To powinno dać nam jakąś orientację.

Zaczęli rozkopywać ziemię w poszukiwaniu kabli, aby po ich ilości, rodzaju przewodów i połączeń zorientować się w charakterze obiektu. Ale i to nie dało rezultatu.

— Nie ma innego wyjścia — oznajmił kolegom ppor. Lipiński — trzebą spróbować wejść na ten teren.

Poszli nocą we dwóch. Przedostali się przez strefę „niczyją" i dotarli do pola minowego, rozpoznanego przez poprzednie wypady.

— Tam, na krawędzi tego pola, są zasieki z drutu kolczastego i rozmaite zamaskowane pułapki — szepnął Krawiec czołgający się obok ppor. Lipińskiego.

— Psiakrew! — syknął Lipiński, który zaczepił się o zwoje drutu kolczastego rzuconego luźnymi spiralami przed polem minowym.

Niemal w tej samej sekundzie z pobliskiego posterunku wystrzelono rakiety, które krótkimi błyskami oświetliły ziemię. Ostre światło zadrgało cieniami na nierównościach gruntu. Zanim krótki błysk zgasł, wysoko na niebie zajaśniała rakieta, gorejąca silnym, białym światłem, powoli spływająca ku ziemi na spadochronie.

Oślepiająca jasność bijąca z przestworzy oświetlała każdy skrawek ziemi, w którą wtulili się zwiadowcy szukając ratunku przed zagładą. Na szczęście obserwatorzy z wież strażniczych nie dostrzegli ich. Gdy wreszcie rakieta zgasła, nieprzeniknione ciemności

Konstanty Więckiewicz, współpracownik i wywiadowca grupy „Pomorze"

nocy okryły ich czarną zasłoną. Straszliwie zmęczeni i wyczerpani nerwowym napięciem wyczołgiwali się w stronę zbawczego lasu, aby tam chwilę odpocząć, a potem dotrzeć do swej kryjówki. Czekano ich tam ze zrozumiałym niepokojem.

Próba przedarcia się przez teren, pełen patroli i zasadzek, równała się samobójstwu i niewykonaniu zadania. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że odnalezienie ich na polu minowym żywych lub umarłych spowodowałoby obławę i schwytanie pozostałych towarzyszy.

Następnego dnia pod wieczór podczołgali się na skraj lasu i przez lornetki obserwowali teren.

— Cała filozofia to przejść przez pole minowe i dotrzeć do wartownika stojącego na skraju pierwszej linii ochrony — powiedział ppor. Lipiński.

— Myślę, że trzeba przejść tym przesmykiem pomiędzy jeziorami — stwierdził Piesiór, wskazując na mapie wąski skrawek ziemi pomiędzy jeziorami Głębowo i Knisk. — Na tej trasie, na której byliście minionej nocy, jest cała składnica min różnych rodzajów.

— A twoim zdaniem, jakie mogą być miny na tym przesmyku? — spytał ppor. Lipiński.

— Najprawdopodobniej będą tam miny „Sch", czyli „Schuhminen". To takie miny z „potykaczami" urywające nogi. Min przeciwczołgowych czy też z zapalnikami naciskowymi i zrywowymi na pewno nie będzie. Niemcy na takim terenie zawsze stawiali miny przeciw piechocie.

Ppor. Lipiński spojrzał na swoich żołnierzy.

— No, to szykujmy się do marszu!

Poczekali do zmierzchu i podkradli się pod pierwszy pierścień ochrony, torując sobie ścieżkę przez pole minowe w kierunku przesmyku pomiędzy jezio-

rami Głębowo i Knisk, gdzie, jak zaobserwowali przez lornetki, stał pojedynczy posterunek.

Posuwali się czołgając i „szpilkami" saperskimi lekko poruszali ziemię przed sobą. Z chwilą gdy natrafili na metal, odkładali „szpilki", rozgrzebywali ziemię rękami i odnalazłszy minę delikatnie, palcami, szukali zakrętki. Nie była to praca bezpieczna ani szybka, bo po wykręceniu spłonki trzeba było jeszcze sprawdzić, czy rozbrajana mina talerzowa nie ma zapalników z boku i z tyłu, do których przyczepiony był „potykacz".

Najprościej byłoby detonować takie miny kotwiczką saperską zahaczoną za ucho miny, ale tego robić nie mogli, bo hałas spowodowany detonacją postawiłby na nogi całą okolicę.

Mieli o tyle ułatwione zadanie, że torowali sobie tylko wąską ścieżkę nie rozbrajając całego pola minowego na przesmyku. Mimo to rozbroiwszy miny do połowy pola byli tak straszliwie zmęczeni, że chcieli zostawić wszystko, wycofać się do swojej leśnej kryjówki i odpocząć.

Najbardziej męczące było to, że cały czas pracowali w pozycji leżącej. Nie mogli unieść się nawet na kolana ani lekko dźwignąć głowy w obawie, by nie dostrzegli ich wartownicy obserwujący teren.

W miarę upływu czasu zmęczenie coraz silniej dawało się im we znaki. Dyszeli tak ciężko, że bali się, czy nie usłyszą ich niemieckie warty.

Mimo chłodu byli mokrzy od potu, a szpilki saperskie, którymi wyszukiwali ukryte w ziemi miny, wypadały im co chwila ze zmęczonych dłoni.

W pewnym momencie zdrętwieli z przerażenia. Do uszu ich doszedł łoskot pojazdów bojowych jadących prosto na nich. Tłumiąc przyspieszony rytm serca zaczęli wpatrywać się w ciemności, w których zamaja-

czyły niewyraźne sylwetki samochodów.

— To nie samochody, to krzaki! — usłyszeli cichy szept ppor. Lipińskiego.

— A ten huk silników? — zabrzmiało ledwo dosłyszalne pytanie.

— To echo silników samochodów przejeżdżających za przesmykiem.

Odetchnęli z ulgą zdając sobie sprawę, że ulegli złudzeniu, które spowodowały zmęczenie i noc.

— To się nazywa wykonywanie niewykonalnych rozkazów! — szepnął Piesiór.

Przeorali się niemal przez całe pole minowe. Jeszcze tylko kilka metrów. Podświadomie zaczęli dziobać ziemię szybciej, aby wreszcie zakończyć tę katorżniczą pracę, ale zwolnili tempo przypominając sobie wielokrotnie powtarzane powiedzenie instruktora z kursu, że saper myli się tylko raz.

Wreszcie przetarli trasę i doszli do ziemi bezpiecznej, bez min i pułapek. Przytulili się do wilgotnego runa i starając się jak najciszej oddychać, czekali na przejście patrolu, który jak zdążyli zaobserwować, z niemiecką dokładnością zjawia się w tym miejscu co 30 minut.

Niemcy przyszli punktualnie i po paru minutach poszli dalej.

Spadochroniarze obserwując samotnego wartownika podczołgiwali się ku niemu. Wyczekali momentu, kiedy odwrócił się od nich plecami, aby ruszyć na obchód swego odcinka, i skoczyli na niego.

Obezwładnienie zaskoczonego Niemca było rzeczą łatwą. Zarzucili mu kurtkę na głowę i ściągnęli ze ścieżki.

Przerażony wehrmachtowiec, widząc pochylonych nad sobą ludzi w cywilnych ubraniach, w pierwszej chwili nie mógł wykrztusić ani jednego słowa. Dopie-

ro po zapewnieniu, że nic mu się nie stanie, o ile będzie mówił, nabrał ochoty do wynurzeń.

Niestety, niewiele mógł powiedzieć, poza stwierdzeniem, że przedostanie się w głąb rejonu jest niemożliwe ze względu na środki ostrożności, które nawet żołnierzom pilnującym obiektu nie dają szans przejścia do drugiej strefy. W każdym pasie jest osobna kontrola, której podlegają nawet wyżsi stopniem oficerowie. Specjalną ochronę mają nawet siatki maskujące, a wszystkie przejścia na przesmykach są zaminowane. Również w wodach jeziora są miny.

Niemiec nie mógł zrozumieć, jak udało im się przejść przez pole minowe aż do linii posterunków.

Potwierdził również informacje poprzednio uzyskane przez spadochroniarzy, że żadne większe transporty nie przybywają i nie wyjeżdżają z tego obiektu strzeżonego przez żołnierzy z „Leibstandarte" i „Grossdeutschland".

Przesłuchując jeńca ppor. Lipiński wpatrywał się w niedostępną dla nich drugą strefę. Mimo ciemności dostrzegł między drutami urządzenia alarmowe, przesłonięte siatkami ciągnącymi się na całej długości strefy.

— A te siatki to w jakim celu? — spytał jeńca.

Niemiec spojrzał we wskazanym kierunku i pospiesznie wyjaśnił:

— Przeciwko sarnom i innym zwierzętom, które przebiegając potrącały urządzenia alarmowe i stawiały na nogi całą załogę pierwszej strefy.

Więcej od swego jeńca nie zdołali się dowiedzieć. Zwolnili go więc oddając mu broń, a zatrzymując jedynie jego znak tożsamości.

Był to wypróbowany sposób zmuszenia Niemca do milczenia o nocnej przygodzie i spotkaniu z partyzantami, za których ich uważał.

Wycofując się ścieżką utorowaną w polu minowym obserwowali go jakiś czas. Niemiec nie wykazywał chęci podniesienia alarmu i maszerował wzdłuż pilnowanego przez siebie odcinka spokojnym, normalnym krokiem trzymając broń na ramieniu.

Zacierając ślady i wyrównując ziemię w miejscu rozbrojonych min spadochroniarze przebyli przesmyk, przeczołgali się polem i zniknęli w gęstwinie leśnej. Jeszcze tej samej nocy, pomimo straszliwego zmęczenia, ruszyli w drogę powrotną, chcąc jak najszybciej oddalić się od Kętrzyna i tajemniczego obiektu tak pilnie strzeżonego. Więcej nie mogli zrobić.

Byli pierwszymi alianckimi żołnierzami, którzy z bronią w ręku dotarli tak blisko Kwatery Głównej Hitlera.

Wycofując się z rejonu Kętrzyna określili dokładnie rozmieszczenie obiektu, nanosząc swe spostrzeżenia na mapę.

Droga powrotna była trudniejsza niż marsz w tamtą stronę. Niejednokrotnie szli lasami w takich ciemnościach, że musieli zawieszać sobie fosforyzujące kompasy na plecach, aby się nie pogubić. Nie uniknęli też bolesnych upadków do świeżo wykopanych rowów przeciwczołgowych. Wszystko to zmniejszało tempo ich marszu, a pragnęli przecież jak najszybciej dotrzeć do swojej bazy, aby przekazać do sztabu zebrane wiadomości.

W rejonie Mrągowa natknęli się na patrol niemiecki. W wyniku obustronnej strzelaniny zginęło trzech żołnierzy niemieckich, a st. sierż. Płonka został ranny. Na szczęście mógł iść dalej o własnych siłach.

Zaalarmowani Niemcy podjęli pościg za nimi. Musieli więc odbić z trasy i kluczyć lasami, zacierając ślady i zasypując je drobno zmielonym tytoniem, ażeby psy esesmańskie nie mogły ich wytropić.

Czesław Zysk, współpracownik grupy „Pomorze"

W okolicy Szczytna mieli drugie starcie z przeszukującymi drogi żołnierzami Wehrmachtu. Tutaj również doszło do wymiany ognia. Strat po obu stronach co prawda nie było, niemniej jednak znów musieli zmienić trasę marszu w kierunku na Wielbark, czyli poza swój rejon działania, gdzie nie mieli współpracowników, punktów kontaktowych i baz zaopatrzeniowych.

Dwa dni maszerowali o chłodzie i głodzie, bezdrożami, unikając posterunków i patroli niemieckich. Nie brakowało im tylko wody, bo przemykali się pomiędzy jeziorami, a i deszcz padał bez przerwy.

W czasie tej wędrówki spotykali ludzi pracujących przy sypaniu okopów, a wśród nich dużą ilość wywiezionych z powstania warszawskiego Polaków, którzy ze względu na cywilne ubrania spadochroniarzy brali ich za uciekinierów z robót fortyfikacyjnych i ostrzegali przed patrolami niemieckimi wyłapującymi zbiegów.

W czasie swojej wędrówki na Kętrzyn i z powrotem desantowcy dokładnie rozpoznali „pruski bastion" wszechstronnie przygotowany do obrony, zwłaszcza w rejonach Giżycka, Kętrzyna, Mrągowa, Szczytna, Olsztynka i Nidzicy. Mogli więc po powrocie do bazy przekazać radiowy meldunek, określający obronę Prus jako bardzo dobrze przygotowaną, zwłaszcza pod względem rozbudowy fortyfikacji obronnych pomiędzy jeziorami i wokół miast zamienionych w twierdze.

Jeśli chodzi o tajemniczy obiekt w Kętrzynie, to w meldunku został on określony jako „... budowla o znaczeniu strategiczno-wojskowym, zamaskowana i bardzo silnie strzeżona. Placówki i patrole w odległości 20 kilometrów od obiektu. Przesmyki między jeziorami otaczającymi obiekt i jeziora są zaminowa-

ne, a niezależnie od tego pilnie strzeżone. Dwukrotnie próbowaliśmy podejść bliżej, ale każdorazowo zostaliśmy ostrzelani i musieliśmy się wycofać. Nic nie wskazuje na to, aby pogłoski o rozbudowanej tam produkcji »ciężkiej wody« były prawdziwe". W meldunku podano dokładny opis rejonu i rozmieszczenia obiektu, co ułatwiło lotnictwu radzieckiemu jego zbombardowanie pod koniec grudnia 1944 roku.

Dopiero później spadochroniarze dowiedzieli się, że w swoim ryzykanckim wypadzie dotarli do drugiej linii obronnej Kwatery Głównej Hitlera.

W bazie oczekiwały ich niemiłe wiadomości. Propaganda Goebbelsa rozsiewała wiadomości o nowej „cudownej" broni, mającej przechylić szalę zwycięstwa na korzyść III Rzeszy. Ludność polska została poddana nowym, silnym represjom. Werbunek do Volkssturmu znowu przerzedził szeregi ich współpracowników, a Niemcy wzmocnili oddziały Jagdkommanda tropiące akowskich partyzantów, ażeby po ich śladach trafić do zrzuconej na ten teren grupy dywersyjnej. Niezależnie od tego uruchomiono i rozesłano na wszystkie strony dużą liczbę agentów i wzywano ludność do podjęcia współpracy w likwidacji bezkarnie działających „bandytów". Za udzielenie pomocy w ich schwytaniu wyznaczono wysokie nagrody, a za współpracę wysokie kary. Ponadto ogłoszono w prasie, że ..." dwóch członków bandy już schwytali..." Miało to na celu wywołanie paniki wśród ludności udzielającej pomocy spadochroniarzom.

PONIEŚLI WIZJĘ NOWEJ POLSKI POZA LINIE WROGA

Tymczasem spadochroniarze, zawiesiwszy przekazywanie wiadomości poza linie frontu, zapadli w leś-

nych bunkrach w rejonie wsi Pokrzydowo i Lipinki. Przyczyną tego nie był lęk przed Niemcami, którzy uporczywie wysyłali w teren specjalne samochody z urządzeniami namiarowymi i doskonale wyszkoloną obsługą, której celem była lokalizacja wrogiej radiostacji nadającej regularnie meldunki poza linie frontu.

Spadochroniarze zawiesili przekazywanie wiadomości, ponieważ wyczerpały się baterie aparatury radionadawczej. W tej sytuacji działalność niemieckich namiarowców nie mogła przynieść oczekiwanych rezultatów, zwłaszcza że spadochroniarze, dysponując dobrą siecią wywiadu oraz sporą ilością bezpiecznych punktów, ustawicznie zmieniali miejsce swego stacjonowania. Tak więc Niemcy zgubili ślad polskiej radiostacji. A nowej desantowcy nie mogli oczekiwać.

Należało zdobyć baterie na miejscu. W tym celu wyjechała do Gdańska córka jednego ze zwiadowców AK — Marta Gilginas. Wielokrotnie przywoziła ona już partyzantom leki i środki opatrunkowe.

Czekając na przywiezienie z Gdańska baterii do radiostacji spadochroniarze częściej niż zazwyczaj odwiedzali kwatery akowców, wśród których pod ich wpływem zaczęły się tworzyć grupy demokratyczne, a nawet lewicowe.

Inicjatorem tego ruchu był zastępca ppor. Lipińskiego do spraw politycznych, ppor. Stefan Zakrzewski, który już w sierpniu zaangażował akowców oraz ludowców do powielania, a następnie drukowania w konspiracyjnej drukarni w Wąbrzeźnie, „Manifestu Lipcowego", kolportowanego wśród miejscowej ludności oraz materiałów wydawanych przez Komitet „Wolne Niemcy", a rozprowadzanych wśród ludności niemieckiej i żołnierzy Wehrmachtu.

Niezależnie od tego prowadzono działalność propagandowo-polityczną wśród miejscowej ludności organizując „ustną gazetkę", czyli przekazywanie wiadomości o wszystkim, co się działo na świecie i na najbliższym froncie wschodnim. Każdą informację otrzymaną z nasłuchu radiowego należało wyjaśnić i skomentować, co nieraz zapoczątkowywało ożywione dyskusje na tematy polityczne. W czasie tych spotkań spadochroniarze czytali lub dawali do czytania swoim słuchaczom „Manifest Lipcowy", którego kilkanaście egzemplarzy mieli w swych bagażach. Na tereny te, zrabowane niegdyś Polsce lub bezprawnie wcielone do Rzeszy, polityczne spory, które toczyły ze sobą kierownictwa różnych organizacji podziemnych w Generalnej Guberni, docierały tylko dalekim i słabo odbijającym się echem. Tutaj od wieków trwała walka o przetrwanie i tylko jeden był wróg: Niemiec! Walka z nim była obowiązkiem każdego, kto czuł się Polakiem. Właścicielami majątków ziemskich czy też zakładów pracy byli tu Niemcy. Tak więc podział klasowy pokrywał się z podziałem narodowościowym. Mimo to dyskusje były ożywione, a pytania czasami szokujące.

Trzeba więc było trzymać nerwy na wodzy i pamiętać, że pytania zadawali ludzie, którzy niewiele wiedzieli o Związku Radzieckim i o komunizmie, a chcieli wiedzieć jak najwięcej, ponieważ dla wszystkich było jasne, że nie kto inny, tylko żołnierze radzieccy będą wyzwalać te ziemie. I trzeba im było tłumaczyć wszystko prostym językiem bez napuszonych frazesów i sloganów.

Trudno byłoby twierdzić, że wszystko, co słyszeli, autochtoni przyjmowali bez zastrzeżeń. Zbyt długo byli pod obstrzałem niemieckiej propagandy, aby nie mieli takich czy innych wątpliwości. Ich zdaniem jed-

no tylko było zupełnie pewne: sojusznikiem ich jest ten, kto zwalcza hitlerowską Rzeszę.

Przekonanie to jeszcze bardziej utwierdzali Polacy spędzani przez Niemców na przymusowe roboty i traktowani jak niewolnicy.

Niemcy prawdopodobnie nie zdawali sobie sprawy, że zwożąc ich tutaj dziesiątkami tysięcy, przywracają polskość ziemiom setki lat germanizowanym. Nie zdawali sobie sprawy, że znów wszędzie słyszeć się będzie język polski i zaczną nim mówić nawet ci ludzie, którzy — zdawało się — już nim mówić nie potrafią.

Jeżeli człowiek inspirujący dyskusje wszystko to rozumiał, z łatwością znajdował wspólny język ze swymi słuchaczami i mógł spokojnie przysłuchiwać się sporom, toczonym przez nich między sobą, bez udziału prelegenta.

A dyskusje te często miały dość dziwny przebieg:

— Ale jak tu przyjdą komuniści — biadał jakiś autochton — to zrobią wszędzie kołchozy i upaństwowią nam żony!

— Gdzieś ty o tych żonach słyszał? — pyta sąsiad.

— Niemcy opowiadali.

— A ty Niemcom wierzysz? Może wierzysz we wszystko, co ten Hitler szczeka?!...

— Taki głupi nie jestem!

— Ludzie, o co wam chodzi? — wtrąca się do rozmowy trzeci. — Chodzi wam o wolność?

— No, tak!

— A to nie wszystko jedno, czy od hitlerowców uwolnią nas Anglicy, czy Rosjanie?!

— Ale ziemia?!

— Nasz naród nikomu nie odda swojej ziemi! Niemcy wypierali nas z niej przez setki lat, a utrzy-

maliśmy ją. I utrzymamy teraz. A kto wypędzi Niemców, to jest obojętne!...

— Tak się sprzeczacie, jakbyście byli wielkimi obszarnikami. Obszarnikami byli tutaj Niemcy, niech więc ich parcelują i dadzą ziemię tym, którzy jej nigdy nie mieli i byli tylko wyrobnikami u magnatów pruskich.

— Słusznie! Nam ziemi nie odbiorą, bo i co komu przyjdzie z takich małych płachetków, jakie mamy!

*

Pierwszymi członkami Polskiej Partii Robotniczej w dawnych Prusach Wschodnich byli Jan Grzonkowski i Leonard Piotrowski. Wstąpili do niej we wrześniu 1944 r. po zaznajomieniu się z „Manifestem Lipcowym" i długich dyskusjach ze spadochroniarzami, którzy zapoznali ich ze statutem Partii i odebrali od nich przyrzeczenie, które było jednocześnie przysięgą partyzancką.

Pierwsza komórka partyjna powstała w Traczyskach, a jej sekretarzem był Leonard Piotrowski, rozstrzelany później przez Niemców. Potem powstały komórki PPR w Czarnym Bryńsku, Lipinkach i wielu innych miejscowościach. Zabrakło „Manifestów Lipcowych", które spadochroniarze przynieśli spoza linii frontu. Trzeba było drukować je na miejscu. Załatwiała to Maria Kaczewska z Traczysk, która miała kontakty z ludźmi kierującymi tajną drukarnią Stronnictwa Ludowego w Wąbrzeźnie. Przy tej okazji, współdziałający z grupą spadochroniarzy Niemiec antyfaszysta, leśniczy Herman Wajder, wydrukował przyniesione przez grupę materiały propagandowe wydawane przez Komitet „Wolne Niemcy". Materiały te rozpowszechniał wśród cywilnej ludności Maks Schmidt i autochton Więcek, człowiek bardzo

obrotny, umiejący dotrzeć nawet do urzędów niemieckich.

Z tej grupy, która wspólnie ze spadochroniarzami organizowała pierwsze komórki PPR w Prusach Wschodnich, wywodzą się dzisiejsi działacze PZPR: Stanisław Sztramski, Franciszek Staliński, Tadeusz Jarzębski, Franciszek Lubański oraz wielu innych.

Nieco kłopotów było ze zorganizowaniem Związku Walki Młodych. Zaczęło się od tego, że syn Henryka Sztramskiego, Ignacy, przysłuchując się rozmowom o działalności Związku Walki Młodych w Generalnej Guberni, postanowił wstąpić do ZWM i wspólnie z kolegami założyć pierwszą komórkę tej organizacji. Spadochroniarze nie wiedzieli, co mają z tym zrobić, bo chłopak miał dopiero 14 lat. Nie mogli mu powiedzieć, że jest jeszcze za młody, bo był łącznikiem ich grupy podejmującym bardzo trudne zadania i wykonywał je bez zarzutu. Nie było innego wyjścia, jak zaakceptować jego decyzję. Ignacy Sztramski był najmłodszym łącznikiem grupy desantowej i prawdopodobnie najmłodszym członkiem Związku Walki Młodych w historii tej organizacji.

Stosunek do organizacji miejscowej ludności, Polaków i obywateli niemieckich polskiego pochodzenia, był nader przychylny. Wszyscy ludzie, z którymi się skontaktowano, chcieli walczyć ze znienawidzonym hitleryzmem i nie obawiając się represji, deklarowali gotowość współpracy. Z ciekawością też słuchali spadochroniarzy, roztaczających przed nimi wizję nowej Polski, która powróci na te ziemie i przyniesie sprawiedliwość społeczną. Spadochroniarze byli dla nich pierwszymi żołnierzami, którzy znaleźli się na tych ziemiach w polskich mundurach i stanowili forpocztę armii wyzwoleńczej. Powtarzano to im niejednokrot-

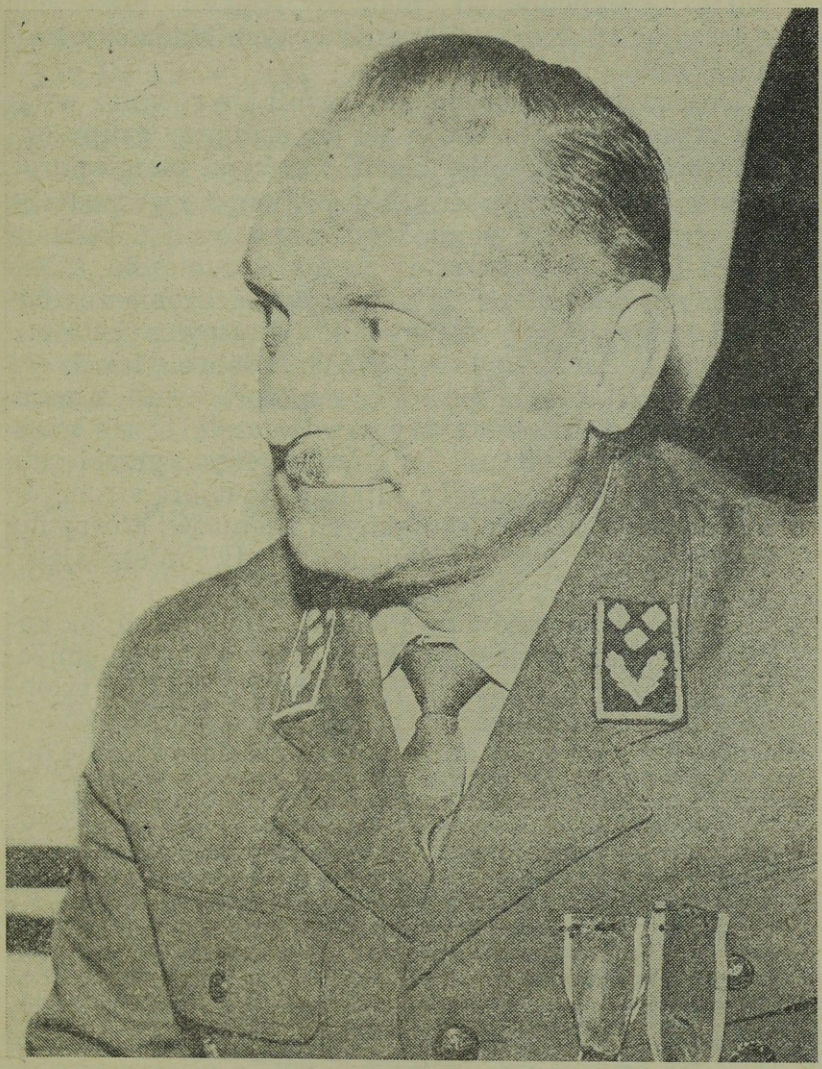

Tadeusz Jarzębski, współpracownik i wywiadowca grupy „Pomorze"

nie i oczekiwano od nich wystąpień bojowych, zgłaszając chęć uczestniczenia w tych akcjach z bronią w ręku.

Do pozytywnej oceny przyczynił się również wygląd zewnętrzny i zachowanie się żołnierzy grupy desantowej. Za wszystko płacili markami niemieckimi, w które byli zaopatrzeni. A jeśli któryś z gospodarzy nie chciał przyjąć pieniędzy, to opuszczając kwaterę pozostawiali je dyskretnie na szafce lub stole. Mimo trudnych warunków bytowych spadochroniarze chodzili zawsze w oczyszczonych i wyprasowanych mundurach. Podobnie było z bielizną. Działo się tak dzięki kobietom, których mężowie współpracowali z nimi. Żonom swoich towarzyszy zawdzięczali, że ich mundury i cywilne ubrania, w które się często przebierali, wyglądały jak spod igły. Miało to tę dobrą stronę, że myliło przypadkowo spotkanych Niemców, którzy nie przypuszczali, aby członkowie „bandy" mieszkającej w lesie mogli tak elegancko wyglądać.

Stosunek Niemców do Polaków zmieniał się na korzyść w miarę ponoszenia klęsk przez wojska niemieckie na różnych frontach. Wielu, nawet spośród członków partii hitlerowskiej, czując zbliżający się koniec wojny, chciało mieć alibi. Inni znów kierowali się doraźną finansową korzyścią w postaci łapówek. To w dużej mierze ułatwiało spadochroniarzom uzyskiwanie cennych informacji o tym, co dzieje się w punktach o węzłowym znaczeniu, jakie transporty wojskowe przejeżdżają w kierunku wschodnim, co się dzieje na niemieckich lotniskach i drogach przelotowych, dokąd kierowane są transporty ludzi i sprzętu, niezbędnego przy budowie obronnych fortyfikacji. Wszystkie te wiadomości przekazywali spadochroniarze drogą radiową do centrali sztabu partyzanckiego działającego przy II Froncie Białoruskim.

Bywały jednak wypadki, że niemieccy informatorzy pracowali dla obu stron jednocześnie.

Tak było z Niemką, która przyjechała do Buczkowa w charakterze nauczycielki. Informacje o jej prawdziwej działalności przekazali spadochroniarzom ich wywiadowcy, Władysław Smoliński i Henryk Pliwka. Ten ostatni był wójtem w Buczkowie. Niemka odwiedziła go w urzędzie i zaczęła rozmowę na temat... działalności band partyzanckich w okolicy. Pliwka od razu odgadł, że ma do czynienia nie z nauczycielką, a następnie stwierdził, że posługuje się fałszywymi dokumentami. W celu dokładniejszego zapoznania się z właściwą pracą tej przystojnej dziewczyny, rzekomej nauczycielki, spadochroniarze wydelegowali ppor. Piesióra.

Był to bardzo przystojny mężczyzna o ujmującym sposobie bycia. Niemka zakochała się w nim. Po paru dniach wyznała polskiemu oficerowi, że nie jest nauczycielką, lecz została skierowana do Buczkowa przez gestapo z Berlina, celem rozpracowania działającej w tych stronach grupy dywersyjnej. Wszystkie wiadomości miała przekazywać komendantowi gestapo w Brodnicy, lecz dotychczas nadała tylko jeden meldunek. Jego treść stanowiła wiadomość o natrafieniu na ślady grupy dywersyjnej. Następne meldunki do gestapo, redagowane już przy pomocy ppor. Piesióra, zawierały fałszywe informacje. Natomiast spadochroniarze otrzymali prawdziwe dane o zamierzeniach i poczynaniach gestapo, co w dużej mierze ułatwiało im działalność i poruszanie się w terenie.

Niestety, po potyczce stoczonej przez spadochroniarzy z oddziałem Jagdkommando w okolicy Buczkowa, Niemka została aresztowana i rozstrzelana w więzieniu w Grudziądzu.

WALKA W „CZARCIM WĄWOZIE"

W tym czasie liczebność grupy desantowej wzrosła. Doszli do niej ludzie, którzy już od dawna współpracowali ze spadochroniarzami i teraz zdekonspirowani, musieli uchodzić do lasu. Byli to: leśniczy Jan Grzonkowski, Bronisław Malikowski i Franciszek Dąbrowski. Oprócz nich przybył do oddziału Maks Schmidt, który zorientowawszy się, że w każdej chwili może zostać aresztowany, zdezerterował z Wehrmachtu i przedarł się spod Kętrzyna do Czarnego Bryńska, a stamtąd do Buczkowa.

Wielu młodych ludzi współpracujących z grupą desantową, widząc liczebny wzrost oddziału, chciało dołączyć do spadochroniarzy, aby podjąć otwartą walkę z Niemcami. Obiecywali, że mogą w krótkim czasie zwerbować wielu ochotników, zdecydowanych na wszystko, i będzie można podjąć duże działania partyzanckie.

Nie było to możliwe, bo pomijając już trudność uzbrojenia dużego oddziału, nie istniały szanse na przetrwanie większej ilości ludzi w tym terenie.

To, że desantowcy utrzymywali się tak długo, zawdzięczali swej wielkiej ruchliwości, jaką mogła posiadać tylko niewielka grupa korzystająca ze wszechstronnej pomocy ludności. Stworzenie wielkiego partyzanckiego oddziału z góry skazywało go na zagładę. Zresztą zbliżał się trudny dla partyzantów okres — zima, do której musieli się przygotować. Część zapasów żywności ściągnęli do lasów, a część postanowili przechowywać u swoich współpracowników. Zbudowali też w lasach kilka bunkrów zapasowych, aby móc w każdej chwili zmienić miejsce pobytu. Ponadto rozdzielili swój dwudziestoosobowy oddział na mniejsze grupy.

Jedna z nich, pod dowództwem ppor. Lipińskiego, przebywała w bunkrze zbudowanym w pobliżu miejscowości Kocioł, opodal tzw. „Czarciego Wąwozu".

Bunkier miał być dobrze zaopatrzony w żywność, więc wysłano dwóch ludzi, aby pobrali ją z punktu kwatermistrzowskiego w Noskach, u Władysława Bieńkowskiego. Po zapasy poszli Bronisław Malikowski i Franciszek Dąbrowski. Gdy ładowali żywność do plecaków, dom, w którym przebywali, został nagle otoczony przez silny oddział żandarmerii. Doszło do wymiany ognia. Bronisław Malikowski zginął w walce z żołnierzami, a Franciszek Dąbrowski został schwytany.

Niemcy natychmiast przystąpili do badania jeńca, słusznie przypuszczając, że skoro miał dostarczyć żywność partyzantom, to musi wiedzieć, gdzie się ukrywają. Nieludzko katowany, więzień załamał się i Niemcy na podstawie jego zeznań opracowali plan zlikwidowania grupy ukrywającej się w „Czarcim Wąwozie". Wezwano posiłki, a skuty kajdankami więzień miał być przewodnikiem i doprowadzić Niemców do leśnego bunkra.

W godzinach popołudniowych ponad setka żołnierzy niemieckich, z prowadzonym na lince Franciszkiem Dąbrowskim na czele, wmaszerowała do lasów otaczających „Czarci Wąwóz".

Ppor. Lipiński z niepokojem patrzył na zegarek. Wysłani ludzie już dawno powinni wrócić!

Na posterunku przed ziemianką stał dezerter z Wehrmachtu, Maks Schmidt, i on pierwszy dostrzegł zbliżających się Niemców, którzy posuwali się ostrożnie, licząc na zaskoczenie ukrywających się w bunkrze partyzantów. Strzał oddany przez Maksa Schmidta rozwiał te złudzenia. Zaalarmowani spadochronia-

rze wyskoczyli z ziemianki. Rozpoczęła się strzelanina. Ppor. Lipiński, który dostrzegł wśród zbliżających się Niemców skutego kajdankami Franciszka Dąbrowskiego, zrozumiał i odgadł wszystko.

Ostrzeliwując z automatu zbliżających się Niemców wydał rozkaz cofnięcia się do bunkra. Tylko dwóch z nich wiedziało, że na przedpolu bunkra jest pole minowe, którego sznury naciągowe były ukryte w ziemiance.

Niemcy zbliżali się do bunkra, a na czele — tuż obok oficera — szedł Franciszek Dąbrowski, który nie wiedział o istnieniu pola minowego.

— Zdradził nas! — mruknął któryś z żołnierzy.

— To nie on nas zdradził — powiedział ppor. Lipiński — To jego męka nas zdradziła!

Żołnierze niemieccy wchodzili na pole minowe. Ppor. Lipiński obserwował ich uważnie i w pewnym momencie szarpnął sznur naciągowy. Powietrzem zatargał gromowy huk detonacji i całe fontanny ziemi wzleciały ku niebu. Poprzez eksplozję min wybuchających z opóźnieniem słychać było rozpaczliwe krzyki Niemców uciekających w głąb lasu.

— Ognia! — podał komendę ppor. Lipiński.

Zagrzechotały automaty i karabiny spadochroniarzy, którzy wyskakiwali z bunkra i ścigali strzałami wycofujących się w panice Niemców. Z tych, którzy znaleźli się na polu minowym, nikt nie uszedł. Całe przedpole przed bunkrem było pokryte zabitymi i rannymi.

— Zanim ściągną posiłki, mamy trochę czasu. Spalić ziemiankę i niszczyć wszystko, czego nie możemy zabrać z sobą.

— Jesteś ranny?!

— Tak — odpowiedział ppor. Lipiński — ale nie mamy czasu na zajmowanie się ranami.

Spadochorniarze zniszczywszy wszystko i podpaliwszy bunkier ruszyli lasami w kierunku Czarnego Bryńska, aby połączyć się tam z drugą grupą stacjonującą w leśnych bunkrach.

Nie mieli spokojnej drogi. Niemcy, zaalarmowani niepomyślnym przebiegiem walki w „Czarcim Wąwozie", rzucili silne patrole w okoliczne lasy chcąc dopaść wycofujących się partyzantów. Zmotoryzowane oddziały Jagdkommando miały przewagę nad maszerującymi piechotą spadochroniarzami i zaciągnęły sieć aż po lasy wiodące do Czarnego Bryńska. Doszło do walki, bo wycofujący się Polacy kilkakrotnie zetknęli się z patrolami niemieckimi i musieli wyrąbywać sobie drogę granatami ręcznymi. Wreszcie postanowili wyjść nocą z lasów lidzbarskich i udać się w zapasowy rejon działania w okolice Brodnicy i Pokrzydowa.

Dopiero tam policzyli swe straty. W walkach w „Czarcim Wąwozie", a potem z patrolami w lasach, zginęli: Maks Schmidt, Niemiec antyfaszysta Norbert Herman oraz leśniczy Jan Grzonkowski, a rany odnieśli ppor. Józef Lipiński i st. sierż. Leon Płonka.

Straty niemieckie były większe, bo jak doniósł wywiad, tylko w walce pod bunkrem, na polu minowym, zginęło dziesięciu żołnierzy niemieckich, a trzydziestu siedmiu zostało ciężko rannych.

Jak wielka panika wybuchła wśród Niemców zaskoczonych wybuchem na polu minowym, świadczył fakt, że uciekli pozostawiając na polu walki swoich zabitych i rannych żołnierzy. Dla partyzantów zniszczenie bunkra w „Czarcim Wąwozie" było dużym ciosem. Stracili w nim część zgromadzonych zapasów. A zima zapowiadała się tego roku sroga.

Następnego dnia Niemcy aresztowali dużo ludzi podejrzanych o współpracę z „bandą", m. in. żonę Władysława Bieńkowskiego oraz jego matkę, które roz-

strzelano na miejscu. Zginął również pod kulami plutonu egzekucyjnego wójt z Buczkowa. Niemiec antyfaszysta, Henryk Pliwka.

ŚMIERĆ PODPORUCZNIKA MYCKI

Od początku pechowego dla spadochroniarzy grudnia widać było duże ożywienie działalności Jagdkommando oraz żandarmerii. Silne oddziały Wehrmachtu „przeczesywały" lasy i położone wśród nich wioski, szukając partyzantów, których liczba była przesadzona zarówno wśród ludności, jak też i władz niemieckich. Mówiono bowiem o setkach uzbrojonych ludzi, dysponujących wieloma stacjami nadawczo-odbiorczymi. Tymczasem ludzi było kilkunastu, a radiostacja jedna.

Gorliwość władz bezpieczeństwa tłumaczono sobie tym, że Niemcy spodziewając się ofensywy, chcą oczyścić zaplecze z dywersantów mogących informować o przegrupowaniach obronnych ich wojsk. Ale przeczyły temu polecenia płynące ze sztabu, a nakazujące żołnierzom grupy „Pomorze" w dalszym ciągu rozpoznawać i przekazywać dane dotyczące niemieckich przygotowań do obrony, niezbędne do przygotowania ofensywy, a nie jej rozpoczęcia.

Niemniej wersje o bliskiej ofensywie ożywiły działalność akowskiego podziemia, zwłaszcza w okolicach Działdowa, Brodnicy, Janowa i Nidzicy, co pociągnęło za sobą dalsze represje niemieckie.

Nasilenie poczynań żandarmerii i Jagdkommanda nastąpiło w ostatnich dniach grudnia 1944 roku, obejmując wiele miejscowości, między innymi Pokrzydowo, gdzie już od dłuższego czasu kwaterował w tamtejszym punkcie kontaktowym, w domu Agnieszki

Markowskiej, pierwszy dowódca grupy „Pomorze" podporucznik Henryk Mycko wraz z dwoma spadochroniarzami: podporucznikiem Stefanem Właszkowskim i starszym sierżantem Władysławem Wilczyńskim. Dołączył do nich zbiegły jeniec wojenny, oficer Armii Radzieckiej. Grupa prowadziła prace organizacyjne i polityczne wśród mieszkańców rejonu Brodnica-Pokrzydowo.

29 grudnia 1944 roku Pokrzydowo zostało otoczone przez dwie kompanie żandarmerii i wyspecjalizowany w walce z partyzantami oddział Jagdkommando. Przeprowadzono typowo niemiecką pacyfikację, aresztując ludzi posądzonych o kontakty z podziemiem. Gdy żandarmi otoczyli zabudowania Agnieszki Markowskiej, ukryci w jej domu spadochroniarze otworzyli ogień i podjęli walkę z Niemcami, chcąc wyrwać się z okrążenia. Strzały zaalarmowały żandarmów przeszukujących sąsiednie budynki i ściągnęły ich na miejsce walki. Przewaga Niemców była dziesięciokrotna, a ponadto do walki włączył się oddział Jagdkommanda, uszczelniając pierścień otaczający zabudowania.

Mimo tej ogromnej przewagi Niemcy zaczęli ponosić ciężkie straty, bowiem spadochroniarze, nie mając nic do stracenia, walczyli z niebywałą zaciekłością. Wreszcie widząc, że czas działa na ich niekorzyść, podjęli próbę otwarcia sobie drogi granatami ręcznymi. Podczas przebijania się zginęli podporucznicy Mycko i Właszkowski. Padli jeszcze w zabudowaniach. Były jeniec, oficer Armii Radzieckiej, przedarł się przez linie niemieckie i padł na skraju wioski. Starszemu sierżantowi Wilczyńskiemu udało się przerąbać przez dwa niemieckie pierścienie okrążenia i był już blisko zbawczego lasu, gdy dostał się w ogień ciężkiego karabinu maszynowego oddziału otaczające-

go wioskę trzecim pierścieniem. Trafiony całą serią pocisków padł o krok od ocalenia.

Właścicielkę budynku, w którym ukrywali się spadochroniarze, Agnieszkę Markowską, wraz z jej córką Józefą, rozstrzelano na miejscu, a piętnastu mieszkańców wioski w pobliskim lesie. Tam ich pochowano.

*

Na drugi dzień, po odejściu Niemców, miejscowa ludność przeniosła i pochowała zwłoki pomordowanych na cmentarzu w Pokrzydowie.

Podczas gdy rozgrywała się Pokrzydowska tragedia, pozostałe podgrupy znajdowały się w rejonie Zalesia i Lipinek, kwaterując w budynku Eugeniusza Gilginasa, skąd kontaktowały się ze swymi zwiadowcami w terenie. Rozpoznanie — zgodnie z dyrektywami sztabu — prowadzono w dwóch kierunkach: Nowe Miasto—Iława oraz Działdowo—Nidzica, gdzie rozbudowywane były nowe obronne linie niemieckie. Dokładne dane o rozbudowaniu linii okopów, umocnień i fortyfikacji dostarczali zwiadowcom Polacy oraz obywatele niemieccy polskiego pochodzenia, wysyłani do pracy przy umocnieniach obronnych. Oni właśnie, spotykając się z wywiadowcami desantu, opisywali im, co robili i co widzieli. Dla uniknięcia pomyłek każda wiadomość była sprawdzana przez konfrontację z poprzednimi informacjami, a potem nanoszona na mapy sztabowe.

Częstotliwość przekazywania wiadomości do sztabu w tym czasie znacznie wzrosła, ku wielkiej rozpaczy Niemców, którzy na skutek ciągłej zmiany miejsca nadawania nie mogli dokładnie namierzyć i zlikwidować „przeklętej bandyckiej" radiostacji, tak długo działającej bezkarnie na ich terenie.

W trakcie gorączkowej pracy spadochroniarzy Sta-

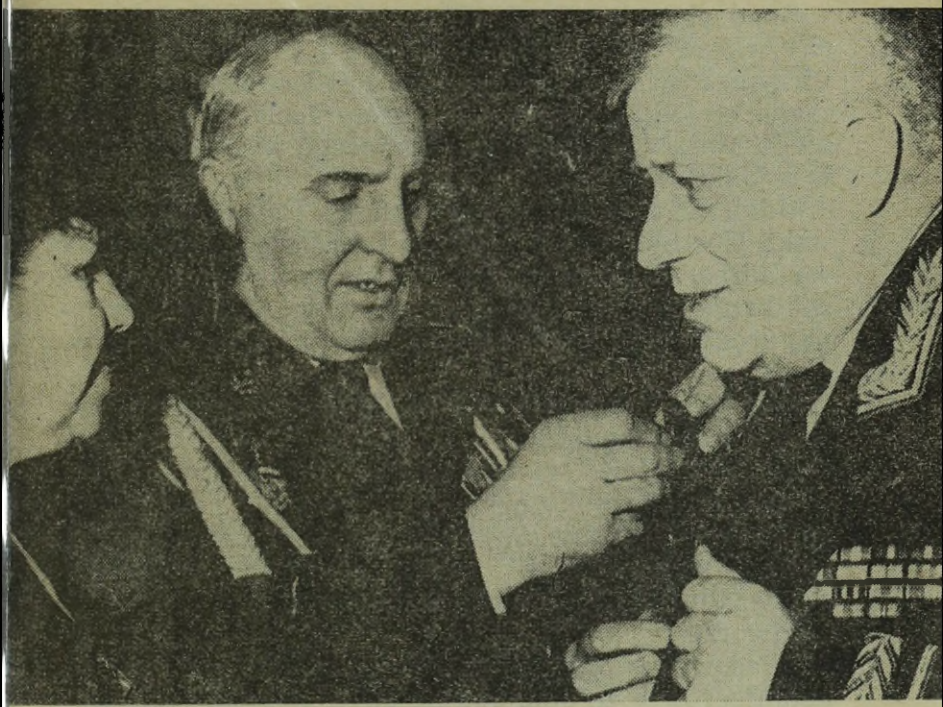

Płk J. Lipiński wręcza pamiątkową odznakę spadochronową gen. K. Korownikowi, który jako oficer sztabu poza frontem współdziałał z grupą „Pomorze"

nisław Sztramski przekazał meldunek, że do Lidzbarka Welskiego przybył oddział własowców. Spadochroniarze znali ich nieźle, bo przed zrzutem na Prusy, jeszcze w batalionie szturmowym, bili się z nimi kilkakrotnie w okolicy Równego.

Nie była to przyjemna wiadomość, gdyż własowcy — przeszkoleni w zwalczaniu partyzantów — robili to lepiej niż Niemcy, i dlatego używani byli do działań specjalnych na Białorusi i Ukrainie.

Spadochroniarze polecili wywiadowcom śledzić ruchy własowców i zapomnieli o nich. Po jakimś czasie otrzymali wiadomość, że mają odebrać ważne informacje od jednego ze swoich współpracowników, Antoniego Moszczyńskiego, mieszkającego w Turzy Małej, w rejonie Działdowa.

Udali się tam we trójkę: Lipiński, Piesiór i Zakrzewski. Noc była bardzo ciemna i trafili pod niewłaściwy adres. Gwar dochodzący z chaty upewnił ich, że spotkanie ma się odbyć pod pokrywką jakiejś rodzinnej uroczystości. Po otwarciu drzwi skamienieli z wrażenia.

Izba była pełna własowców, którzy urządzali sobie orgię z dziewczynami.

Na szczęście podporucznik Lipiński, stojący w drzwiach, szybko ochłonął z wrażenia i skierował automat na własowców. Natychmiast za nim wskoczył do izby podporucznik Piesiór z automatem gotowym do strzału, a Zakrzewski, jako ubezpieczenie, pozostał na dworze.

Własowców było piętnastu. W większości byli to podoficerowie ze stacjonującego w pobliżu oddziału. Uzbrojeni byli w szable i tylko trzech z nich miało pistolety, których nie zdążyli wydobyć. Część miała na mundurach odznaczenia bojowe nadane przez dowództwo Wehrmachtu. Zaskoczeni i przerażeni dali się bez oporu rozbroić i stali pod ścianą z rękami wzniesionymi do góry, dygocąc ze strachu. Podczas rewizji spadochroniarze znaleźli przy nich zdjęcia pornograficzne oraz fotografie przedstawiające likwidację cywilnej ludności w czasie powstania warszawskiego. Jeden z własowców przyznał się, że brali udział w tłumieniu powstania i za to właśnie dostali odznaczenia.

Zorientowawszy się, że mają do czynienia z Pola-

kami, przerażeni własowcy zaczęli skamleć o litość. Długie serie automatów przerwały ich jękliwe błagania.

Spotkanie z wywiadowcą Antonim Moszczyńskim trzeba było przełożyć na inny termin, bo strzały postawiły całą wioskę na nogi i o żadnych rozmowach nie mogło być mowy.

NA DROGACH ZAGŁADY I ŚMIERCI

Skończył się ciężki grudzień. Skacząc na tyły wojsk niemieckich, spadochroniarze liczyli na szybkie ruszenie frontu. Mijały miesiące, a front stał. Niemcy, przegrupowując swoje wojska szykowali się do obrony „pruskiej twierdzy". Ściągali dywizje z frontu zachodniego i oczyszczali teren. Wzmogły się aresztowania i pacyfikacje. Specjalne oddziały „przeczesywały" lasy i przeszukiwały wioski szukając zbiegów z robót fortyfikacyjnych, aresztując podejrzanych Polaków i wyłapując zbiegłych z obozów jeńców radzieckich. Nasycenie terenu wojskami niemieckimi utrudniało działanie i poruszanie się w terenie, a sztab wciąż domagał się informacji o przegrupowaniach wojsk niemieckich, budowach nowych fortyfikacji oraz nastrojach ludności.

W tym okresie, poza odbieraniem meldunków od wywiadowców z różnych stron Prus Wschodnich, dwie grupy żołnierzy podporucznika Lipińskiego prowadziły działania rozpoznawcze w rejonach zapasowych, kwaterując u Eugeniusza Gilginasa. Jedna z tych grup działała w rejonie Zalesia, w powiecie działdowskim, a druga w okolicy Lipinek, w powiecie Nowe Miasto.

W połowie stycznia 1945 r. zaczął się ożywiony ruch

kolumn zmotoryzowanych i pancernych. Wojska niemieckie obsadzały pozycje obronne i szykowały się do zaciekłej obrony „pruskiej twierdzy". Wydano zarządzenia przyspieszenia ewakuacji ludności cywilnej i przymusowych robotników cudzoziemskich, których do ostatniej chwili zmuszano do robót fortyfikacyjnych. Na drogach zaczęło się piekło.

Ewakuacja cywilnej ludności była zamierzeniem planowym, przygotowywanym dużo wcześniej, nim front przybliżył się do granic III Rzeszy. Już przed wielu miesiącami hitlerowcy, wycofując się z okupowanych terenów Związku Radzieckiego, palili miasta, wioski, niszczyli zakłady produkcyjne, a ludność wywozili w głąb Niemiec. Celem tej akcji było pozostawienie przeciwnikowi pustej, spalonej ziemi, zniszczenie wszystkiego, aby zwycięskie wojska nie miały żadnego pożytku z wyzwolonych terenów. Plany te były konsekwentnie realizowane, a kiedy wojska polskie i radzieckie zbliżyły się do granic Niemiec, przywódcy hitlerowscy wiedząc, że ziemie zachodnie i północne po wojnie powrócą do Polski, postanowili i tutaj w pełni zrealizować hasło „spalonej ziemi". Chcieli zostawić pustkę i zgliszcza.

Już od września 1944 r. przez Pomorze Zachodnie szły konwoje uciekinierów z Prus Wschodnich, a liczba ich zwiększała się z każdym miesiącem. Kulminacyjny punkt przypadł na ostatni miesiąc 1944 roku i początek stycznia 1945 roku.

Procedura była krótka. Wydawano polecenie, aby wszyscy mieszkańcy opuszczali swoje domy w ciągu kilku godzin i nie było od tego odwołania. Przebiegu ewakuacji pilnowały oddziały SS-Waffen, których żołnierze rozstrzeliwali ludzi usiłujących pozostać na miejscu, pod zarzutem współpracy z komunistami.

Ponadto propaganda hitlerowska straszyła miesz-

kańców kolportując odezwy, ulotki i gazety opisujące nieprawdopodobne okrucieństwo oddziałów radzieckich, które mordują wszystkich, nie wyłączając starców i dzieci.

Wszystko to spowodowało paniczną ucieczkę. Ludzie całymi tysiącami wysypywali się na drogi, nie mając żadnych środków transportu i żadnej pomocy, ani ze strony administracji cywilnej, ani też ze strony wojska. Były to głównie kobiety i dzieci, bo wszystkich mężczyzn od lat szesnastu do sześćdziesięciu pięciu wcielono do Volkssturmu.

Po daremnych oczekiwaniach na stacjach i wyznaczonych punktach transportowych te przerażone i bezradne setki tysięcy ludzi ruszyły piechotą na zachód, za Wisłę. A kiedy drogi wiodące na zachód zostały odcięte przez polskie i radzieckie oddziały, władze niemieckie kierowały uciekinierów w kierunku Gdyni i Gdańska, gdzie rzekomo oczekiwały na nich okręty mające przewieźć ludność drogą morską do zachodnich portów niemieckich.

Na drogach powstała tragiczna sytuacja. Szosy wiodące w stronę morza zapchane były od brzegu do brzegu tłumami uciekinierów, ciągnących swój dobytek na sankach, a nawet zwykłych deskach. Matki niosące małe dzieci na rękach padały ze zmęczenia i spychane w zaspy śnieżne lub w przydrożne rowy ginęły, zamarzając w 20-stopniowym mrozie.

Spadochroniarze, którzy wychodzili na drogi, aby zasięgnąć informacji o ruchach wojsk niemieckich, wszędzie napotykali ślady panicznej ucieczki. W przydrożnych zaspach leżały potrzaskane wozy, padłe ze zmęczenia konie i trupy zamarzniętych ludzi, głównie starców i dzieci oraz niemowląt pozawijanych w poduszki i koce. Grozę budził widok trupów uciekinierów zepchniętych do przydrożnych rowów

przez dokonywające przegrupowań odwrotowych jednostki niemieckie, które nie mogąc przedostać się przez tłumy ludzi blokujących skrzyżowania, „oczyszczały" szosy i drogi spychając transporty cywilne na pola, pokryte metrowymi zaspami śniegu, na których czekała śmierć. Tak zginęło tysiące niemieckich kobiet i dzieci, których ojcowie, mężowie i bracia służyli w oddziałach Wehrmachtu i Volkssturmu.

Drogi wiodące ku Zatoce Gdańskiej stały się dla uciekinierów drogami śmierci.

W tym styczniowym, przypominającym piekło, odwrotowym chaosie spadochroniarze podporucznika Lipińskiego przeprowadzali swoje ostatnie akcje, mające na celu utrudnienie wojskom niemieckim ich odwrotowych przegrupowań.

Jedną z bardziej udanych było „zdjęcie" niemieckiej regulacji ruchu z szosy pod Lubawą. Po wystrzelaniu z karabinów snajperskich z tłumikami dyżurujących na skrzyżowaniu dróg niemieckich żołnierzy spadochroniarze ubrali się w ich płaszcze oraz hełmy, aby po przestawieniu drogowskazów kierować nadchodzące transporty wojskowe w stronę Ostródy, czyli w niewłaściwym kierunku.

Po przejściu długiej niemieckiej kolumny wojskowej spadochroniarze zniknęli ze skrzyżowania i z ukrycia obserwowali drogę przez lornetki. Nadjeżdżająca od Ostródy zmotoryzowana kolumna niemiecka zatrzymała się na skrzyżowaniu nie wiedząc, gdzie jechać, bo służby regulacji ruchu nie było, a znaki drogowe leżały poprzewracane.

Pierwszy transport, który zawrócił po stwierdzeniu, że jedzie w niewłaściwym kierunku, spotkał się na skrzyżowaniu ze stojącą na nim zmotoryzowaną kolumną i zablokował drogę nadjeżdżającej trzeciej kolumnie z ciężkim sprzętem. Powstało trudne do

zlikwidowania zamieszanie. Trzy drogi zapchane były wojskiem, które przepychało się nawzajem. Potężne ciągniki artyleryjskie roztrącały samochody i konne wozy taborowe, a zawracające transportery opancerzone wpadały na siebie, sczepiały się i zjeżdżały do przydrożnych rowów niewidocznych pod zaspami śniegu.

Trwało to dosyć długo. Wreszcie po interwencji niemieckich wyższych oficerów, którzy przyjechali na to miejsce z następną kolumną i pieszo przedostali się do skrzyżowania przez kłębowisko samochodów, zator został rozładowany i rozpoczął się niezdarny marsz kolumn kilku rzędów drogą i obok drogi, polami. Sporo wraków pozostało na drodze i w okolicznych rowach.

W rejonie Nowego Miasta dwóch spadochroniarzy, mówiących świetnie po ukraińsku, przyłączyło się do kolumny ewakuowanych kobiet ukraińskich, których mężowie służyli w formacjach SS, i zaczęło kolportować wiadomość, że w Nowym Mieście wylądował desant polski, co wywołało ogólną panikę i zamieszanie wśród uciekinierów. Wykorzystując bezradność kierowników taboru spadochroniarze skierowali transport na drogę omijającą Nowe Miasto, którą według wiadomości wywiadu akowskiego, miała wycofywać się kolumna niemieckich oddziałów zmotoryzowanych.

Odwrót wojsk niemieckich w kierunku Nowego Miasta—Iławy był tak pospieszny i gwałtowny, że spora ilość żołnierzy Wehrmachtu, mających rodziny w tych miejscowościach i zaniepokojonych ich losami, dezerterowała i przekradała się do swych domów, ginąc od kul plutonów SS-Waffen, które rozstrzeliwały każdego żołnierza odłączającego się do swego oddziału.

Mniej więcej w tym samym czasie, na polecenie wycofującego się sztabu armii generała Hossbacha, została wysadzona w powietrze Kwatera Główna Hitlera, tzw. Wilczy Szaniec (Wolfschanze), w Kętrzynie. Jeszcze bardziej symboliczna była druga podobna akcja, przeprowadzona przez wycofujące się jednostki dwóch armii. Na rozkaz generała Reinhardta wysadziły one w powietrze gigantyczne mauzoleum w Stęborku wzniesione na rozkaz Hitlera „zwycięzcy spod Tannenbergu" — zmarłemu marszałkowi Hindenburgowi, który „...zmazał hańbę klęski, poniesionej pod pobliskim Grunwaldem".

Obie te eksplozje wielu ton materiałów wybuchowych zwiastowały kres dziejów Prus Wschodnich, które przez długie lata jak groźna chmura wisiały nad Polską.

Działalność spadochroniarzy na tyłach wroga właściwie została już zakończona. Nadali oni swój ostatni meldunek do sztabu, podając na zakończenie, że będą się przebijać w stronę idących naprzód wojsk radzieckich.

Ale nie nastąpiło to tak szybko, ponieważ musieli jeszcze, wraz ze swymi współpracownikami z Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich, organizować grupy samoobrony zabezpieczające pozostawione na łasce losu ocalałe mienie państwowe i bronić polską ludność, która nie dała się ewakuować, przed wycofującymi się w straży tylnej oddziałami SS-Waffen i dywersantami hitlerowskimi. Ze ścigającymi Niemców wojskami radzieckimi spotkali się dopiero pod koniec stycznia, przekazując ich dowództwu mapy oraz informacje, które zostały wyzyskane w dalszym natarciu jednostek radzieckich.

Część współpracowników grupy „Pomorze" wykorzystano jako przewodników, przydzielając ich do

Siedzą od lewej: Józef Krawiec, członek grupy „Pomorze", płk Józef Lipiński — dowódca grupy, Irena Sztramska, kpt. Stefan Zakrzewski — zastępca dowódcy grupy „Pomorze", Genowefa Zakrzewska — b. członek ZPP w ZSRR, Halina Kołakowska, współpracownik grupy, żołnierz AK. Stoją od lewej: Izydor Nowowiejski — żołnierz AK, Konstanty Więckiewicz, Henryk Sztramski, Czesław Zysk, Władysław Bieńkowski, Tadeusz Jarzębski, Ignacy Sztramski.

poszczególnych regularnych jednostek wyzwalających Ziemię Warmińsko-Mazurską.

*

Zadziwiający wydaje się fakt, że spadochroniarze rozpoznawczo-dywersyjnej grupy „Pomorze" potrafili na nieznanym i tak niebezpiecznym terenie utrzymać się i działać ponad pół roku, podczas gdy wszystkie inne oddziały desantowe, zrzucane na Prusy Wschodnie, w okolicach Iławy, Olsztyna czy Kętrzyna, były szybko likwidowane przez Niemców.

Działacze miejscowego podziemia twierdzili, że przyczyny ich szybkiej likwidacji należy upatrywać w niejednolitym składzie tych grup, złożonych z byłych żołnierzy Wehrmachtu, którzy przeszli na stronę radziecką i należeli do Komitetu „Wolne Niemcy", oraz oficerów armii radzieckiej, a więc ludzi o innej mentalności, inaczej pojmujących działalność dywersyjną, a ponadto nie zorientowanych w skomplikowanej sytuacji na terenach, na które zostali zrzuceni.

Niemcy, w większości byli żołnierze Wehrmachtu, którzy przeszli na stronę radziecką w latach 1941--1942, pamiętali Prusy Wschodnie z tamtych czasów. Tymczasem w 1944 roku wszystko już wyglądało inaczej.

Ponadto przygotowanie Prus Wschodnich do obrony spowodowało olbrzymią koncentrację wojska i ożywioną działalność kontrwywiadu, penetrującego wszystkie środowiska. A największym ich błędem były próby nawiązywania łączności ze swymi rodzinami lub krewnymi w celu wciągnięcia ich do współpracy z grupami dywersyjnymi. Było to równoznaczne z wydaniem wyroku śmierci na całą grupę, ponieważ wszyscy ludzie spokrewnieni z dezerterami z Wehrmachtu znajdowali się pod obserwacją gestapo i każde zbliżenie się do nich było wejściem w pułapkę.

Tajemnicą powodzenia grupy „Pomorze" były: jej jednolitość, ogromna ruchliwość i oparcie się o ludzi, którzy już tkwili w działalności podziemnej, dysponowali pokaźną ilością współpracowników, punktami kontaktowymi, leśnymi bunkrami i siecią wywiadowczą, a nawet kontaktami z niemieckimi antyfaszystami, nawiązywanymi w miejscach pracy. Nie bez znaczenia był również fakt wrodzonych zdolności konspiracyjnych Polaków.

Wystarczało, w oparciu o tę bazę, rozbudować sieć

współpracowników oraz informatorów. Chętnych nie brakowało, bo wszyscy Polacy na tych terenach, mimo hitlerowskich represji, nie wahali się podejmować walki, której celem było wyzwolenie Ziemi Warmińsko-Mazurskiej i powrót jej do Macierzy.

Na pozytywny stosunek do spadochroniarzy wpływało ich zachowanie się i wygląd zewnętrzny. Nie było wypadku, aby spadochroniarze nie zapłacili za żywność czy kwatery lub nie wspomagali finansowo rodzin ludzi współpracujących z nimi. Potrafili też na interwencję miejscowej ludności oraz stykających się z nią więźniów obozów koncentracyjnych i jeńców wojennych likwidować dręczących ich katów, aby pokazać niemieckim oprawcom, że zbrodnie dokonywane na Polakach nie uchodzą bezkarnie.

Takie akcje nie tylko wywoływały radość wśród polskiej ludności oraz spędzonych do pracy przymusowej Polaków, ale i hamowały zbrodnicze zapędy przedstawicieli miejscowego „herrenvolku".

Spadochroniarze nie wahali się również dla podtrzymania ducha ludności podejmować akcji bojowych, odbijających się głośnym echem w całych Prusach Wschodnich, jak choćby wysadzenie pociągu wojskowego pod Tamą Brodzką.

Osobną kartą ich działalności było prowadzenie pracy propagandowo-politycznej. Spotkania z ludnością, kolportaż „Manifestu Lipcowego" oraz materiałów propagandowych Komitetu „Wolnych Niemiec" spełniały ważną rolę i zyskiwały im sojuszników ofiarujących współpracę.

Umieli również zorganizować pierwsze komórki Polskiej Partii Robotniczej na terenie Prus Wschodnich, które powstały w Czarnym Bryńsku, Buczkowie, Traczyskach i wielu innych miejscowościach. Działalność tych komórek narzuciła nurt lewicowy ruchowi

oporu na tych terenach. A należeli do nich tak dzielni ludzie, jak pierwszy sekretarz komórki PPR w Czarnym Bryńsku, Leonard Piotrowski, który rozstrzelany w czasie pacyfikacji tej miejscowości, zginął z okrzykiem: — Niech żyje wolna, niepodległa Polska!

Organizowali też pierwsze grupy Związku Walki Młodych, do którego zgłaszali się ich młodociani łącznicy, mający po 14 czy 15 lat, jak Ignacy Sztramski, czy Władysław Piotrowski, chyba najmłodsi członkowie ZWM w historii tej organizacji.

Z tych właśnie ludzi tworzyły się później lokalne oddziały samoobrony, które przy wycofywaniu się Niemców broniły pozostającej na miejscu ludności przed bestialskimi żołdakami z SS-Waffen i w miarę swych skromnych możliwości starały się uchronić mienie państwowe przed zniszczeniem.

Oni też tworzyli pierwsze zręby administracji polskiej obejmującej Ziemię Warmińsko-Mazurską w wieczyste posiadanie.

Jeżeli chodzi o wojskowe osiągnięcia, to spadochroniarze grupy „Pomorze", działający na terenie Warmii i Mazur, rozpracowali cały system umocnień, fortyfikacji, pułapek i pól minowych, zamykających przejścia pomiędzy jeziorami. Ustalili szereg przeszkód sztucznych i naturalnych, w tym szczególnie ochraniany rejon Kętrzyna, gdzie znajdowała się Kwatera Główna Hitlera, a także rejony umocnień Giżycka, Szczytna, Olsztynka i Nidzicy, szereg niemieckich lotnisk, polowych i stałych, oraz baz zaopatrzeniowych Wehrmachtu.

Dane te, przekazane drogą radiową poza linie frontu, umożliwiły dowództwu wojsk radzieckich opracowanie planów obejścia i okrążenia rejonów umocnionych, a tym samym zmniejszyły straty jednostek

szturmujących „pruską twierdzę Hitlera”, stojącą na straży III Rzeszy.

Nie wszystkim spadochroniarzom grupy „Pomorze” udało się przeżyć wojnę. Ginąc w nierównej walce, swoimi mogiłami wytyczali granice dzisiejszej Polski.

SKŁAD OSOBOWY GRUPY DYWERSYJNO-ZWIADOWCZEJ „POMORZE" DZIAŁAJĄCEJ NA TERENIE PRUS WSCHODNICH W OKRESIE 5 VIII 1944 — 20 II 1945 r.

1. Podporucznik Henryk Mycko — członek KPP. Był górnikiem we Francji. Dowódca grupy „Pomorze" do września 1944 roku. Zginął w walce z żandarmerią niemiecką w Pokrzydowie i tam jest pochowany na cmentarzu komunalnym.
2. Podporucznik Józef Lipiński — członek PPR. Od września 1944 roku dowódca grupy „Pomorze". Obecnie mieszka w Krakowie. Pułkownik rezerwy.
3. Podporucznik Stefan Zakrzewski — członek KPP, więzień Berezy. Obecnie mieszka w Warszawie. Kapitan rezerwy.
4. Podporucznik Emil Piesiór — członek PPR. Wcielony do wojska niemieckiego przyszedł na stronę radziecką. Obecnie mieszka w Poznaniu. Podpułkownik rezerwy.
5. Podporucznik Władysław Właszkowski — zginął w walce z żandarmerią niemiecką w Pokrzydowie.
6. Podporucznik Władysław Dudzik — zginął w 1946 roku w walce z bandą UPA.
7. Podporucznik Włodimir Kirsiejew — oficer Armii Radzieckiej, radiotelegrafista. Obecnie mieszka w Narowomijsku, w ZSRR, jest sędzią rejonowym.
8. Podporucznik Igor Waluszkiewicz — oficer Armii Radzieckiej. Obecnie mieszka w Kijowie. Inżynier geodeta.
9. Podporucznik Wołodia Arens — oficer Armii Radzieckiej, lekarz chirurg. Zginął w 1945 r. w walce z bandami UPA.
10. Starszy sierżant Józef Krawiec — wcielony do oddziałów

pracy podlegających Wehrmachtowi przeszedł na stronę radziecką. W 1943 r. wstąpił do Batalionu Szturmowego. Obecnie mieszka w Gliwicach.

11. Starszy sierżant Leon Płonka — przed wstąpieniem do Batalionu Szturmowego walczył w partyzantce na Wołyniu. Po wojnie mieszkał w Zielonej Górze i tam zmarł w 1945 roku wskutek następstw ciężkich ran odniesionych w walkach grupy „Pomorze".
12. Starszy sierżant Władysław Wilczyński — przed wstąpieniem do Batalionu Szturmowego walczył w partyzantce radzieckiej. Zginął w walce z żandarmerią niemiecką w Pokrzydowie.

WYKAZ OSÓB WSPÓŁPRACUJĄCYCH Z GRUPĄ DYWERSYJNO-ZWIADOWCZĄ „POMORZE"

1. Władysław Bieńkowski — zwiadowca, członek PPR. Obecnie mieszka w Brodnicy.
2. Konstanty Więckiewicz — członek AK, łącznik, obecnie mieszka w Traczyskach.
3. Jan Urbański — były powstaniec wielkopolski, zwiadowca, członek AK.
4. Maria Kaczewska — żołnierz AK, prowadziła sprawy wywiadu i zaopatrzenia. Obecnie mieszka w Traczyskach.
5. Franciszek Stawicki — członek PPR, zwiadowca, obecnie mieszka w Buczkowie.
6. Leonard Zamkowski — leśniczy w lasach lidzbarskich, wywiadowca, organizował skrzynki kontaktowe, „meliny" dla rannych spadochroniarzy i partyzantów.
7. Tadeusz Jarzębski — dostarczał żywność grupie „Pomorze" i organizował łączność w terenie. Obecnie mieszka w Buczkowie.
8. Franciszek Lubański — członek AK, zwiadowca, pracował w Nadleśnictwie Ruda, pow. Brodnica.
9. Władysław Smoliński — członek AK, zwiadowca, w czasie pacyfikacji Buczkowa rozstrzelany przez żandarmerię.
10. Antoni Moszczyński — członek AK, z Traczysk, łącznik, rozstrzelany przez żandarmerię.
11. Jan Ewertowski — członek AK, zaopatrywał grupę „Pomorze" w żywność i utrzymywał łączność. Obecnie mieszka w Traczyskach.

12. Jan Foss — członek AK, zwiadowca. Obecnie mieszka w Toruniu.
13. Henryk Pliwka — antyfaszysta narodowości niemieckiej, zbierał informacje i zaopatrywał grupę w żywność, rozstrzelany przez Niemców.
14. Norbert Herman — narodowości niemieckiej, były żołnierz Wehrmachtu, zginął w walce z żandarmerią.
15. Jan Grzonkowski — leśniczy, członek AK, zwiadowca i łącznik, zginął w walce z żandarmerią niemiecką.
16. Maks Schmidt — narodowości niemieckiej, były żołnierz Wehrmachtu, zginął w walce z żandarmerią niemiecką.
17. Herman Romer — narodowości niemieckiej, antyfaszysta, pracował w policji niemieckiej, oddał cenne usługi grupie „Pomorze".
18. Herman Wajder — narodowości niemieckiej, leśniczy, prowadził wywiad, zaopatrywał grupę w żywność i przechowywał zwiadowców w swoim mieszkaniu.
19. Stanisław Sztramski — członek PPR, zwiadowca, pracował w leśnictwie u H. Wajdera.
20. Leonard Piotrowski — członek PPR, sekretarz komórki partyjnej, zwiadowca, mieszkał w Czarnym Bryńsku i w czasie pacyfikacji został rozstrzelany wraz z całą swoją rodziną.
21. Eugeniusz Gilginas — członek AK, w Lipinach, łącznik, w jego zabudowaniach był punkt kontaktowy i tam przechowywał zwiadowców grupy „Pomorze".
22. Bronisław Malikowski — zginął w walce z żandarmerią.
23. Agnieszka Markowska — zam. w Pokrzydowie, prowadziła punkt kontaktowy i przechowywała wywiadowców. W czasie pacyfikacji w jej domu zginęło w walce trzech spadochroniarzy z grupy „Pomorze", a Agnieszka Markowska wraz z córką została rozstrzelana przez żandarmów niemieckich.
24. Ignacy Czajkowski — członek AK w Nosku, zaopatrywał grupę w żywność. W czasie pacyfikacji został rozstrzelany przez żandarmów niemieckich.
25. Zygmunt Czajkowski — członek AK, łącznik i wywiadowca.
26. Stefania Czajkowska — członek AK, zaopatrywała w żywność grupę „Pomorze". Została rozstrzelana przez żandarmów niemieckich.
27. Władysław Bartkowski — członek AK w Jamielniku, dostarczał wiadomości oraz żywność. Został rozstrzelany przez żandarmów niemieckich.

28. Jan Kordalski — członek AK w Czarnym Bryńsku, współpracował z grupą „Pomorze".
29. Bronisław Rymkowski — członek AK w Buczkowie, współpracował z grupą „Pomorze".
30. Leon Broll — wywiadowca grupy „Pomorze" w Lidzbarku Welskim.
31. Stanisław Okulski — łącznik-zwiadowca w Lidzbarku Welskim.
32. Jan Więcek — autochton z Nataci, pow. Nidzica. W jego zabudowaniach mieściła się skrzynka kontaktowa.
33. Ernest Maks — narodowości niemieckiej, antyfaszysta, łącznik na terenie Nidzicy.
34. Izydor Nowowiejski — żołnierz AK, łącznik-zwiadowca
35. Halina Kołakowska (Nowowiejska) — żołnierz AK, łączniczka, dostarczała dokumenty osobiste umożliwiające poruszanie się w terenie.
36. Kostka Nachtygał — autochton.
37. Henryk Łopuski — zwiadowca.
38. Leon Zbilicki — żołnierz BCh.
39. Stanisław Maliszewski — żołnierz BCh.
40. Jan Chojnacki — żołnierz BCh.
41. Jan Rosiński — żołnierz BCh.
42. Zygmunt Dobies — żołnierz BCh.
43. Szczepan Dorosz — żołnierz BCh.
44. Marceli Moszczyński — żołnierz BCh.
45. Zygmunt Strzeżewski — żołnierz BCh.
46. Irena Strzeżewska — żołnierz BCh.
47. Helena Strzeżewska — żołnierz BCh.
48. Stanisław Borzuchowski — żołnierz AK.
49. Tadeusz Piotrowski — żołnierz AK.
50. Zacheusz Nowowiejski — żołnierz AK.
51. Mieczysław Szczepkowski — żołnierz AK.

Lista osób współpracujących z grupą „Pomorze" jest niepełna. Podano tylko nazwiska najaktywniejszych członków, którzy dostarczali wiadomości o charakterze wojskowym, byli zwiadowcami, łącznikami, przewodnikami.

Biblioteka im. gen. brona
60339

SPIS TREŚCI

Pruska twierdza Hitlera 5
Polski samodzielny batalion specjalny 12
Grupa desantowa „Pomorze" 14
Jednostka pancerna pod Iławą 29
Zdrajcy i agenci gestapo 36
Tajemniczy obiekt 41
Ponieśli wizję nowej Polski poza linie wroga . . . 61
Walka w „Czarcim Wąwozie" 70
Śmierć podporucznika Mycki 74
Na drogach zagłady i śmierci 79
Skład osobowy grupy dywersyjno-zwiadowczej „Pomorze" 91
Wykaz osób współpracujących z grupą dywersyjno-zwiadowczą „Pomorze" 92

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA
RSW „PRASA-KSIĄŻKA- RUCH" WARSZAWA 1975

Wydanie I. Nakład 60 000 + 260 egz. Objętość: ark. wyd. 4,18 ark. druk. 4,07. Format 11,8×15,8 cm. Papier druk. sat. kl. V, 70 g. 70×100 cm. Nr prod. I—5/2/74. Cena egz. zł 10. Skład i druk: P.Z.Graf. RSW „Prasa-Książka -Ruch" Łódź. ul. Armii Czerwonej 28.

Zam. 255/75 B-52

Cena zł 10.-

Niemal w tej samej sekundzie z pobliskiego posterunku wystrzelono rakiety, które krótkimi błyskami oświetliły ziemię. Ostre światło zadrgało cieniami na nierównościach gruntu. Zanim krótki błysk zgasł, wysoko na niebie zajaśniała rakieta, gorejąca silnym, białym światłem, powoli spływająca ku ziemi na spadochronie. Oślepiająca jasność bijąca z przestworzy oświetlała każdy skrawek ziemi, w którą wtulili się zwiadowcy szukając ratunku przed zagładą. Gdy wreszcie rakieta zgasła, nieprzeniknione ciemności nocy okryły ich czarną zasłoną. Straszliwie zmęczeni i wyczerpani nerwowym napięciem wyczołgiwali się w stronę zbawczego lasu, aby tam chwilę odpocząć, a potem wrócić do swej kryjówki. Próba przedarcia się przez teren pełen patroli i zasadzek równała się samobójstwu.

Biblioteka Główna
Akademii Sztuki Wojennej
80945
20-060339-000-0

KRAJOWA AGENCJA WYDAWNICZA
RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH"
WARSZAWA 1975